

WIELKA GRA

młodzieżowe pismo
oświaty niezależnej

Warszawa 1989
maj - czerwiec
nr 15-16

Julian Radzewicz

Co dalej po okrągłym stole? Zrobić co się da!

Zamierzam wystąpić tu w roli "konstruktywnego opozycjonisty", choć nie zupełnie rozumiem, po co wymyślono taką nazwę. Opozycjonista z definicji musi być trochę konstruktywny, chyba że jest półgłówkiem.

Problemy młodzieży nie zostały rozwiązane przy okrągłym stole, ani w całości (na co nikt nie liczył), ani w jakiejś ważnej części (co powinno się zdarzyć, ale niestety...). Pomijam tu sprawę rejestracji NZS-u, ponieważ było to - moim zdaniem - przesądzone jeszcze przed plenarnym spotkaniem. Zresztą, kiedy piszę te słowa, NZS jeszcze nie jest zarejestrowany, ale mam prawie pewność, że będzie. I niech się działacze tego sympatycznego zrzeszenia teraz już zaczną martwić, jak przejść od robienia zadymy do starania się o wzasy ze raniczne i staże dla swoich kolegów, jak przejść od wieców i ulotek do troski (czytaj: o podupadnię zdrowie studenckiej braci. Argumenty ZSP, że właśnie ono zajmuje się tymi sprawami, mniejsza o to, czy skutecznie, nie są do zlekceważenia. ZSP ma bazę, personel, struktury nastawione na działalność socjalną i organizacyjną, zaś NZS ma kadre działaczy zdolnych do głośnej walki o swoje. Teraz trzeba będzie stworzyć alternatywny wobec ZSP system pracy u podstaw... Wiem, że to nudniejsze, nie daje rozgłosu, nie odbywa się w świetle jupiterów i pod okiem kamer TV, ale zdaje się, że trzeba będzie zmienić treść, formę i metodę. Albo utracić członków na rzecz nie tylko ZSP, ale także rozmaitych Unii, Konfederacji, Lig itp. Aut - aut, tertium non datur. Sam okrzyk "Precz z komuna" nie stanowi programu.

Inaczej ma się sprawa ze Związkiem Harcerstwa Rzeczypospolitej. Tu opór władzy okazał się ostry i prawie skuteczny. Podzespół do spraw oświaty, nauki i postępu technicznego nie wspomniął o tym w części zgodnego zapisu, zaś w protokole rozbieżności strona rządowa zaleciła przekazanie tej sprawy stolikowi d/s młodzieży. Jak wiadomo, nastąpił tam nijaki kompromis. Czyli wymyślono formułę odżekania.

Dlaczego tak się stało - i co z tego wynika? Mnie i drubowie z ZHR walczyli jak lwy, i to tak

mocno, że w trakcie obrad ukonstytuowali się jako ZHR... Po pierwsze za późno, bo władze miały formalne podstawy by nie występować z poparciem dla Związku, o którym mówili albo źle, albo wcale, a nadto nie mogli stawiać swego ukochanego ZHR tuż przed jego zjazdem w sytuacji jagiellońskiego waju. Jeśli nawet nie lubimy partnera, to starajmy się zrozumieć jego sytuację i motyw. Po drugie, za wcześnie, bo Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, dopiero sformułowany, nie ma w ręku atutów "podmiotowych": kto to jest? co to jest? co chce robić? co oferuje? Odpowiedzi na te pytania należały się nie tylko organom rejestrującym, ale przede wszystkim rodzicom, którzy decydują o tym, do jakiej organizacji ma się zapisać ich nieletni potomek. Jeżeli ZHR chce działać także w szkołach - trudno wyobrazić sobie coś innego, to wyjaśnienie tych kwestii należały się także nauczycielom - bo przecież okrągły stół walczył o podmiotowość i samostanowienie rad pedagogicznych, ich prawo do decydowania o metodach i treściach wychowawczych realizowanych w szkołach. Czyżby więc w tej jednej sprawie rady pedagogiczne miały być ubezwłasnowolnione?

Zapis w protokole stolika młodzieżowego mówi o pluralizmie organizacji; zgoda, niech będą także różne organizacje harcerskie. Co oferuje ZHR, wiemy mniej więcej, zwłaszcza po zjeździe. Co oferuje ZHR - opinia publiczna nie wie, nawet się nie domyśla. Słowo "Rzeczpospolita" w nazwie Związku brzmi ładnie, ale niczego nie wyjaśnia. Myślę, że Związkowi, żeby mógł skutecznie walczyć o legalizację (a podstawy nawiera zapis protokolarny), potrzebne są następujące rzeczy: stworzenie rzeczywistej, dobrze zorganizowanej bazy społecznej (nie tylko drużyny, ale kufce, a może nawet ochotnicy); przekonujący program, złożony nie z ogólników ideologicznych, ale z wyraźnych OFERT adresowanych do młodzieży i ich rodziców; działania społecznie użyteczne (praca dla ławek, akcje letnie, kursy instruktorskie, reanimacja pracy zuchami itp.). To wszystko powinno być umiarkowanie (i nie krzykliwe, ale wyraźnie) "nagłośnione".

CIĄG DALSZY NA STR. 9

Stanisław Barańczak: OKRESLONA EPOKA

Żyjemy w określonej epoce (odchrzaknięcie) i z tego trzeba sobie, nieprawda, zdać z całą jasnością. Żyjemy w określonej (bulgot) epoce, w epoce określonej, nieprawda, epoce, w epoce ciągłych wysiłków na rzecz, w epoce narastających i zapobiegających się i tak dalej (storbnięcie), nieprawda. Konfliktów. Żyjemy w określonej (brak odstawiania) epoce i ja bym tu podkreślił, nieprawda, że na tej podstawie zostana

nakreślone perspektywy, wykreślone będą zdania, które nie podkreślają dostatecznie, oraz przekreślone zostaną, nieprawda, rachuby (odkasznięcie) tych, którzy. Kto nas pyta? Nie widzę. Skoro nie widzę, widzę, że będą wyrażycielami, wyrażając na koniec przeświadczenia, że żyjemy w określonej epoce, taka jest prawda, nieprawda, i innej prawdy nie ma.

Ja wiem, że to niesłuszne. Paryż 1977

Na str. 6 wywiad ze STANISŁAWEM BARAŃCZAKIEM
Specjalnie dla "Wielkiej Gry"

Bartosz Pieczyński

„Gorący oddech Stalina” przy okrągłym stole Fenomen tzw. „rozbieżności”

O wynikach obrad solidarnościowo-rządowych przy okrągłym stole wszystko od dawna wiadomo, bo prasa pod obiegów „nagięła” to wszystko, co uważała za potrzebne i wygodne. Nie ma więc sensu powtarzać czy streszczać zapisów wspólnych ustaleń; lepiej chyba zatrzymać się przy tzw. protokołach rozbieżności. A może jeszcze lepiej – sam mechanizm powstawania rozbieżności wyjaśnić na konkretnych przykładach.

Protokoły rozbieżności rozdziły się zwykle w ostatniej chwili i z reguły z inicjatywy strony rządowej. Nie jest to zarzut; rzecz naturalna, że „S” żądała, a Partia broniła się zaciekle przed ustępstwami; często broniła się skutecznie.

Rozbieżności wynikały z dwóch przesłanek: albo „rządowcy” tłumaczyli oponentom, że nie są wystarczająco kompetentni, żeby podejmować decyzje a nawet podpisywać wspólne oświadczenie zawierające intencje (choć niby podzielała opinia, doceniają wagę, widzą problem, ale – niestety!), albo też próbowali zastosować taktikę wpuszczania „S” w dziwny kanał, a kiedy się to nie udawało, utwardzali swoje stanowisko.

Pierwsza metoda wytąpiła w pełni w tej części protokołu stołika ds. młodzieży, gdzie chodziło o warunki realizacji powszechnego obowiązku obrony. Strona „S” przedstawiła całą obszerną listę problemów związanych z zasadniczą służbą wojskową, szkoleniem studentów, admilitaryzowaniem wychowania w szkołach, służbą zastępczą itp. Przy stołiku nie było przedstawiciela MON, więc „koalicja” Leszka Millera i Sławomira Wiatra uznała, że jej udział w zapisie na ten temat należy ograniczyć do... pochwalenia MON-u za demokratyzację wojska oraz za „doskonalenie warunków odbywania służby wojskowej”. W ten sposób cała – tak ważna dla młodzieży – sprawa została odłożona ad acta.

Druga metoda (przy tym samym stołiku) została zastosowana w taku dyskusji nad postulatem „S”, który czytujemy tu w całości, bo jest i ważny, i stosunkowo nowy:

„Strona solidarnościowo-opozycyjna uważa za konieczne stworzenie jawnego systemu kontroli społecznej nad realizacją procesów wychowawczych w tych instytucjach państwowych, które rekrutują, grupują i wychowują młodzież, a pozostają poza kontrolą społeczną. Chodzi tu głównie o ośrodki penitencjarne dla nieletnich, Ochotnicze Hufce Pracy, jednostki Obrony Cywilnej, ZOMO, szkoły milicyjne i wojskowe. Zachowanie tej młodzieży, kiedy ujawnia się ona publicznie, budzi uzasadniony niepokój społeczny co do jej morale, obyczaju, systemu wartości i rozwoju psychofizycznego”.

Odpowiedź grupy Millera-Wiatra:

„Strona rządowo-koalicyjna uważa za konieczne podjęcie procesu wychowawczego mającego miejsce w państwowych i niepaństwowych instytucjach wychowujących dzieci i młodzież kontroli społecznej reprezentowanej przez Sejm, rady narodowe i samorządy terytorialne. Kontrola ta, sprzyjając pełnej realizacji procesów wychowania nie może oznaczać ograniczenia praw dzieci i młodzieży oraz naruszania uprawnień rodziców. Jednocześnie stwierdzamy, że zasady jej realizacji muszą być zgodne z zasadami nadzoru pedagogicznego oraz dotyczyć wszelkich państwowych i niepaństwowych instytucji i organizacji wychowujących”.

Weteracy nawet pobieżnie przeczytań ten zapis, żeby pojąć, dlaczego „S” MUSIAŁA zgodzić się na wprowadzenie go do protokołu rozbieżności. Po prostu nie było o czym dyskutować. „Rządowcy” wiedzieli, że „S” nie zgodzi się na odstąpienie Państwu kontroli nad tym wąskim marginesem swojej działalności oświatowej, jakim dysponują środowiska niezależne, zwłaszcza Koscioł. W ten sposób nie oddali wychowania „ohroców do specjalnych akcji” w powołanych przez MSW i MON instytucjach. Tak ponosi się kosztą rozmów z poststalinowską władzą, jeżeli zgodziło się na prowadzenie z nią quasi-negocjacji.

Dość zdumiewającym zjawiskiem jest pojawienie się nowej formy zapisu: rozbieżności ukrytych w protokołach wspólnie podpisanych ustaleń. Nie kpię – mam tekst przed sobą.

Według stenogramów z kolejnych posiedzeń aż trzech podstołików: młodzieży, oświaty i stowarzyszeń – sporo czasu poświęcono gwałtownym polemikom wokół reje-

stracji niezależnych organizacji harcerskich, alternatywnych wobec ZHP, z których najwięcej mówiono o Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Co się z tym stało?

Rząd w swoich „postulatach” zapowiedział już pierwszego dnia, że wnosi pod obrady „potrzebę zgodnego działania głównych sił politycznych na rzecz wychowania dzieci i młodzieży poprzez przyjęcie zasady consensusu wychowawczego i nieprzenoszenia konfliktów politycznych na proces wychowawczy”. Za „konsekwencją tej zasady powinno być utrzymanie jedności Harcerstwa, jako podstawowej organizacji wychowującej w duchu obywatelskim”. Postulat „S” brzmiał jednoznacznie: „Legalizacja organizacji harcerskich takich jak Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej czy Polska Organizacja Harcerska, eliminacja monopolu ZHP jako sprzecznego z zasadą pluralizmu”.

Co z tego się ostało? W protokołach końcowych stołika młodzieżowego istnieje zapis, na którym zależało opozycji: „Konieczne jest (...) zniesienie ograniczeń i wszelkich monopolu w funkcjonowaniu istniejących i w tworzeniu nowych organizacji i stowarzyszeń młodzieży”. Potem zaznacza się jednoznacznie, że organizacje te powinny mieć możliwość zgromadzeń, publikacji, określania swoich metod pracy i atrybutów zewnętrznych identyfikujących te organizacje w ich otoczeniu. Po czym następuje enigmatyczny zapis: „Sądzimy, że harcerstwo znajdzie odpowiadające potrzeby wychowania ku podstawowym wartościom formy organizacyjne w warunkach kształtowania nowego ładu społecznego”.

Oto ukryty zapis rozbieżności. Bo teraz – ZHR i inne alternatywne związki uznają, że są właśnie takimi „formami organizacyjnymi”. Właściwie, że ma nie być monopolu... Tymczasem ZHP już powiedział i przed swym Zjazdem i podczas niego – że pod słowem „harcerstwo” kryje się tylko on i że właśnie ZHP a nie kto inny będzie poszukiwał swych nowych form, do czego już się dzielnie zabrał! Partia locuta – causa finita... Ale może nie całkiem „finita” – boć przecież ma nie być monopolu, żadnych, także i ZHP-owskich? Sytuacja pokazuje, czas zrobi swoje – jeżeli ZHR-owcy nie przespią tego czasu.

Stanisław Barańczak
22.12.79; UKOZONE PO CIEMKU

Układ słoneczny i ustrój społeczny
łącza swe siły w trosce o moje oczy,
oslepiane jarzeniową lampą śniegu:

pierwszy, pod pretekstem astronomii, systematycznie
ubcina mi (przynajmniej do dzisiaj) przydział
dziennego światła;
drugi, pod pretekstem ekonomii, nieregularnie
wylacza mi (na przykład dzisiaj) światło elektryczne.

Ja wiem, chodzi im o to, abym dał oczom odpocząć,
a jeszcze bardziej o to, abym odłożył książkę
i posłuchał tranzystorowego radia albo muzyki szerszej,
abym nie przejawiał niezdrowej skłonności do
czarnowidzenia,
ale dla zdrowia chadzał spać z kurami -

otóż niedoczekanie wasze, orbity i komaty:
ja, nocny marek, podejrzany okularnik,
niepoprawny człowiek, nieopierzona sowa
na ziść i na próżno wpatrzona w ciemność i ciemność,
ja, niewprawny jasnowidz, widzący czarno przed sobą,
do upadłego będą targować się z kurza ślepota
zle oświetlonych planet i nieoświeconych razłów;

„Moje ostatnie słowo: więcej światła” -

choć ostatnie słowo - wiem o tym - będą mieć one

Tryptyk z betonu, smęczenia i śniegu,
1980 (KOS), Paryż 1981

Inny przykład ze stolika oświatowego. Niby pogodzili się wszyscy z tym, żeby odideologizować szkołę i wychowanie instytucjonalne w Polsce. "S" życzyła sobie, by szkoła stała się apolityczna, pluralistyczna, samorządna. Czego sobie życzą Rząd i Partia - to jasne. Więc powstał zapis: "Instytucjonalny wpływ partii politycznych na proces nauczania i wychowania realizowany będzie wyłącznie poprzez organa przedstawicielskie państwa: sejm, rady narodowe." Oczywiście: tak było i dotychczas, tyle że partyjny dyrektor wiecej czasu spędzał w miejscowym Komitecie PZPR niż w swojej szkole (był do tego zobowiązany jako członek Partii a nie jako dyrektor). Zapis ten niby daje szkole "niezależność" od komitetów, ale nie chroni jej przed dalszym manipulowaniem a nawet ręcznym sterowaniem.

Są to wybrane przykłady, a nie informacja o efektach obrad na temat młodzieży, szkoły i wychowania. Efekty okrągłego stołu - to nie "zapisy" zwane słusznie w żargonie opozycyjnym "kwitami". Zapisy te nie mają żadnej mocy (prawnej, bo mieć nie mogą. Okrągły stół i jego "podstoliki" były tylko arenami, gdzie docierały się prawie publicznie stanowiska tak sprzeczne, zdania wygłaszane w tak różnych językach, że o żadnym tzw. consensusie nie mogło być mowy. Jeśli coś się u nas zmieni, to dzięki skutecznym działaniom w ciągu najbliższych miesięcy, może lat. Dlatego nie wpadam w euforię, że coś jednak na nich wymociliśmy. Nie wyrzynał sobie włosów z lysiej głowy, że czegoś tam

nie udało się załatwić. Przecież nie o to chodziło TAM i WTEDY. O to dopiero będzie chodziło. Uda się, czy nie? Bez przesady - nie jestem wrokiem.

Bartosz Pieczyński

PS. Pominąłem zupełnie takie wspólne sformułowania stron, jak np.: "Konieczne jest zniesienie wszelkich barier w podnoszeniu kwalifikacji przez młodych pracowników". Protokół roi się od słownego kitu, o którym szkoda gadać.

B.P.

ZADYMA PO CHINSKU

Pekin był pod koniec kwietnia widowiskiem szczególnej imprezy. Studenci przemaszzerowali głównymi ulicami, skandując hasła, z których wynikało, że młodzież chińska darzy szacunkiem partię, rząd i naród. Zaś na transparentach widniało, że manifestują, żądając rozprawienia się ze skorumpowanymi urzędnikami, domagają się demokracji, wolności słowa i swobody informacji. Nie było ani słowa o papierowych tygrysach, a przecież... Więc udobruchany rząd ustami swojego rzecznika postanowił podjąć dialog ze studentami.

(B.P.)

Julian Radziwiłowicz

Co dalej po okrągłym stole? Zrobić co się da!

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

wszystkich możliwych obiegach. ZNR musi pokazać, że stanowi fakt społeczny, a nie symboliczną nazwę z garstką reprezentantów tej nazwy. Postawmy się na miejscu tzw. decydentów: będą rozmawiali z aktywną siłą, siekającą symbole i elity. I nie ma innej rady, bo takie jest życie, nie tylko u nas.

A co z uczniami? Podszepół do spraw oświaty starannie pominał te problemy, które dotyczą samorządności uczniów, licząc słuszenie, że jest to sprawa stolika młodzieżowego. Dlatego w protokole oświatowym mamy kilka obiegowych ogólników o włączaniu uczniów do współzarządzania szkołą, jako elementów społeczeństwa szkoły. Niewiele to mówi - i nie potrzeba było do tego aż tak uciążliwych negocjacji. Stolik młodzieżowy zapisał kilka ustaleń, które - oczywiście - nie mają mocy prawnej, a są zaledwie intencjami. Nie zapowiadają do dalszych działań. Odcięcie wręcz przeciwnie, że strony opozycyjno-solidarnościowej zadawała się tym, iż dokonano zapisu i czeka na pełnię władzy. A tymczasem:

- zniszczono monopol organizacji szkolnych, czyli wolno tworzyć różne, nowe, nie przewidziane w przepisach regulujących spis takich towarzystw uczniowskich; organizujcie się więc, twórzcie koła, stowarzyszenia, związki, federacje... Czyżby znów dorodził mieli je dla WAS tworzyć?

- powyższe możliwości są uwarunkowane zniesieniem tych nawielających przepisów M.E.N. dotyczących organizacji młodzieżowych - od tego czasu w Polsce odbyło się co najmniej kilka sejmików samorządowych; dlatego nie podjęły one uchwał ZOBOWIĄZUJĄCYCH Ministerstwa dot. zmiany tych przepisów, nadania sejmikom formalnych uprawnień samorządowych w skali ponadszkolnej; nadania formalnego statusu Komisji Rzecznictwa Praw Uczniowskich? Wiem: statuty, egzaminy wstępne na uczelnie, komisje przedsiębiorcze itd. Ale dotyczy to starszych; zaś co z uczniami klas młodszych w szkołach średnich? Pragnię w przyszłym roku oni właśnie zajmą miejsce tych, którzy te możliwości wykorzystali, ale poprzestanie na "wywaloczeniu" nie wystarczy: trzeba teraz je STWORZYĆ w praktyce. Kto to ma robić - znów dorodził?

Żeby coś działało skutecznie, konieczne jest posiadanie własnej, wiarygodnej reprezentacji, która może prowadzić rozmowy z władzami. W szkole z dyrektorem może rozmawiać samorząd, ale tylko wtedy, gdy jest to autentyczna, żywe przedstawicielstwo uczniów, a nie fikcyjny i bierny twór istniejący tylko w zakurzonej gablocie na korytarzu. W mieście, gminie, województwie - reprezentanci wychowani na sejmikach. Tacy,

którzy są obdarzeni mandatem ze strony wielu szkół i różnych środowisk uczniowskich. Przy tym - uważa, licząc się - to Wy najczęstiej organizujecie sejmiki, swóście jednak uwagę, że nie stanowiące repka świata, że tak naprawdę FOZA WANI istnieje stabilność Waszych rówieśników ucząca się w technicznych, liceach zawodowych i sąsiednich szkołach. Jeśli chcecie mieć mandat przedstawicielski, rozmawiać z inspektorem czy kuratorem "w imieniu", to macie być upoważnieni przez wszystkich uczniów, a nie przez koleżeńską elitę. Wiem, że to wymaga różnych zachodów, ale też i uprawianie demokracji nie jest wcale takie łatwe. A kto ma rozmawiać z Ministerstwem? Sejmiki ogólnopolskie? To jeszcze trudniejsze. Może więc upoważnić do tego wspomnianą Komisję Rzecznictwa Praw Uczniowskich? Jej skład osobowy jest otwarty, mogliby więc wejść do niej przedstawiciele różnych regionów... I tam właśnie, na pewno przysdadzą się do pomocy dorodzi... Warto zauważyć, że oni już tam są i czekają na Was (ku rozważeniu: autor tego tekstu jest przewodniczącym owej Komisji - wie, co mówi - przyp. red. "W").

Czy to wszystko? Na początku już napisałem, że nie jest to nawet ważna część tego, co nazywa się problemami młodzieży w PRL. Ale też nie czuję się upoważniony, żeby tu formułować dyrektywy, czym mam zajmować się samorządy, sejmiki, nowe i stare stowarzyszenia uczniowskie. To nie okrągły podstół, ale tym bardziej jego byli doradcy powinni dyskutować młodzieży, co ma robić i jak. Albo idea PODMOCNIENIA nie ma sensu i bez potrzeby wciąż o nią się nie powalcy. Jeżeli w protokółach zapisano pewne ogólne kowe hasła-intencje, to zadaniem młodzieży jest przełożenie ich na język działań. Ta ostatnia uwaga B&P czy zwłaszcza takich postulatów (na które zgodził się przedstawiciel rządowi) jak: zwiększenie uczestnictwa młodzieży w podejmowaniu samorządnych decyzji dotyczących szkoły i samodzielności w rozwiązywaniu problemów w grupach rówieśniczych, upowszechnienie partnerstwa w stosunkach między uczniami i dorosłymi, uczestnictwo młodzieży w zarządzaniu Państwem w skali lokalnej - jej udział w pracach samorządów terytorialnych i innych organach społecznego przedstawicielstwa. To jest na razie zaproszenie do tańca. Trzeba z niego skorzystać, ale wchodząc taką do orkiestry, bo inaczej - znów będziecie tańczyć, jak wam inni zagrają.

Julian Radziwiłowicz

Julian Radziewicz

Jednostki i wspólnoty

"Społeczność", "samorządne grupy" formalne i nieformalne, "podmiotowość zespołu ludzi", wreszcie: "wspólnoty" - to nazwy bardzo nośne i atrakcyjne. Nic dziwnego, że pojawiają się one często (nawet nad miarę i potrzebę) w różnego rodzaju programach, "umowach społecznych", artykułach ideologicznych, dyskusjach o demokracji. Nie jest to specjalność wyłącznie polska, choć trzeba przyznać, że ostatnio we wszystkich możliwych obiegach roi się od tekstów, gdzie używane są te nośne terminy tak długo i tyle razy, iż czytelnik zatracca poczucie ich sensu. Warto więc zdobyć się na coś, co można by nazwać refleksyjnym podejściem do tej złożonej i bynajmniej nie jednoznacznej problematyki. Czas to uczynić, zanim te ważne słowa nie stana się do końca pustymi frazesami.

Zbyt często spotykam kategorycznie wyrażaną opinię, że istnienie samorządu w placówce wychowawczej jest "dobre", a brak takiego samorządu jest czymś z istoty swej "złym". Zawsze przecież chodzi tu o samorząd jako organizację przedstawicielską. Tkwí w tym wyraźne nieporozumienie.

Samorząd jest dobry lub zły, jeśli dobrze lub źle służy swym wyborcom. Dlatego można sobie wyobrazić sytuację, że lepszy jest brak samorządu, niż istnienie takiego, który jest narzędziem manipulowania uczniami przez nauczycieli za pośrednictwem ich nieletnich totumfactich. Samorząd sformalizowany i przy tym "wysferzony", złożony z jednostek wyniesionych na wyżyny, do jakich nie dorosli - udaje, że jest jeszcze jedną "władzą" dla swych rówieśników. Dotyczy to bardziej samorządów klasowych czy grupowych. Jest to bowiem dość ściśle skorelowane z liczebnością grupy, której ma służyć taki samorząd. Zbyt liczna grupa, zorganizowana najbardziej nawet samorządnie, chce się utrzymać jako całość dzięki systemom norm, które dotyczą wszystkich jej członków na równi, tj. bez uznawania prawa do odrębności jednostek. Zauważył to socjolog, Georg Simmel:

"...Normy zachowania, jakie grupa musi narzucić swym członkom, aby móc się utrzymać, zazwyczaj tym bardziej przybierają charakter nakazów, ograniczeń, im większa jest grupa; natomiast związki pozytywne, które nadają grupie właściwą jej treść, muszą być pozostawione decyzji jednostki, gdyż różnice osobowości, interesów, zachowań są zbyt wielkie aby regulować je centralnie" ¹⁾.

Może więc o samorządności i samorządach trzeba mówić, zaczynając od potrzeb jednostki, patrząc na interes zbiorowości jako wypadkową wszystkich interesów indywidualnych?

Preferencjom dla abstrakcyjnych interesów zbiorowości, "kolektywów", towarzyszy irracjonalna wiara w nieomyślność doktryny, wokół której takie kolektywy są tworzone. Stąd - spotykane nie tylko w szkołach - nietrafne decyzje podejmowane "woją większością". Nietrafne, bo wśród osmiuset uczniów - decydentów raczej może mieć trzydziestoosobowa mniejszość, np. dlatego, że jest to grupa najstarszych i najzdolniejszych uczniów z tej szkoły. Bywa także, że uczniowie wybierają bezpośrednio i tajnie przewodniczącego samorządu - po czym prawie nikt nie jest zadowolony z wyboru. Jak może dojść do takiego paradoksu? Sięgnijmy znów do książki Simmela:

"...Fakt, że w całkowicie demokratycznym systemie podwładni wybierają kierownik'a, w żaden sposób nie gwarantuje likwidacji przypadkowości w obsadzaniu stanowisk - nie tylko dlatego, że wybranie osoby znającej się na rzeczy wymaga od wybierającego, aby sam był znawcą przedmiotu, ale także dlatego, że wyniki wyborów w dużych grupach są zawsze przypadkowe" ²⁾.

Czy więc w szkole przyszłości nie ma miejsca dla demokracji, jeśli jej przynypia bywają oceniane tak sceptycznie? Arcysceptyk Bertrand Russel uspokaja nas:

"...Demokracja może funkcjonować jedynie w społeczeństwie wolnym od nienawiści i niszczycielskich instynktów, od strachu i służalczości" ³⁾. Uspokaja nas? A gdzie jest takie społeczeństwo? Oto małe ćwiczenie: odpowiedz sobie, czy w Twojej szkole społeczność uczniów i nauczycieli jest rzeczywistością wolną od wymienionych przez Russela przywar? A jeśli nie jest wolna, to czy masz pewność, że Twoje zabiegi w kierunku "usamorządowienia uczniów" dadzą się pogodzić z postawami Twoich kolegów i Twoich nauczycieli?

W sprawie stosunków "większość - mniejszość" Russel jest nieubłagany: "...Kiedy mniejszość monopolizuje władzę, można spodziewać się, że prędzej czy później większość zostanie sprowadzona do statusu

Umożliwienie wszystkim środowiskom młodzieży, w tym młodzieży szkolnej, stanąć się podmiotem aktywności i praktyczna realizacja zasady swobodnego, nieskrępowanego stowarzyszania się jest warunkiem demokratycznego ładu społecznego, w przyszłości także gospodarczej pomysłowości Polski. (...) Konieczne jest zatem zniesienie ograniczeń i wszelkich monopoli w funkcjonowaniu istniejących i tworzeniu nowych organizacji i stowarzyszeń młodzieży. (...) W planie działań doradczych za konieczne uznajemy pilne dokonanie przeglądu istniejących przepisów i znalezienie sposobu uchylecia tych, które pozostają w sprzeczności z zasadą swobodnego zrzeszania się młodzieży. Dotyczy to zwłaszcza prawa o stowarzyszeniach, ustawy o rozwoju oświaty i wychowania oraz zarządzenia Ministra Ośw. w sprawie współdziałania szkół z organizacjami młodzieżowymi.

(z ustaleń zespołu ds. młodzieży "okrągłego stołu")

niemowlników lub poddanych. Historia uczy, iż nie możemy ufać mniejszościom jako strażnikom interesów większości" ⁴⁾.

I tak miotamy się w sprzecznościach: wierzyć tej większości czy raczej liczyć na mądrzejszą mniejszość? Na pewno w szkole taką mniejszością są nauczyciele, w domu dziecka i internacie - wychowawcy. Czy młodzież musi ich uznawać za "strażników" jej interesów, jeśli historia uczy czego innego... Uczniowie czują to instynktownie, choć z ich znajomością historii nie bywa najlepiej.

Być może właśnie dlatego samorządy uczniowskie - jeśli powstają rzeczywistoście oddolnie - przybierają od razu postać swoistej opozycji antynauczycielskiej. Nie jest to nawet tylko brak zaufania, czy niechęć do belfrów. Jest to raczej wynik niezauważanego bądź ignorowanego faktu, że w placówkach wychowawczych istnieją dwie, różniące się zasadniczo między sobą społeczności: młodzież i dorośli. Jeśli nawet mówić tu można o partnerstwie, współpracy, dialogu, współżyciu - to procesy integracyjne mogą dochodzić tylko do pewnej granicy - dalej mamy do czynienia z utopią, chciwą rzeczywistością ideologów i doktrynerów pedagogicznych, nie zaś z rzeczywistością społeczną. Na fikcyjnej integracji społecznej nie może wyrastać żaden skuteczny proces uspołeczniania młodzieży. Dotyczy to nie tylko uspołeczniania i nie tylko młodzieży.

Różne poglądy na tzw. uspołecznianie dzieci i młodzieży w procesie ich wychowania podpierają się więc

ZAJĘCIA POZALEKCYJNE

"Głos Szczeciński" zawiadomił wszystkich (w tym MO i nauczycieli), że uczniowie II LO przesiadując w kawiarni "Neptun" przy ul. Małopolskiej zajmują się ćpaniem, co zostało stwierdzone niejednokrotnie przez personel kawiarni. Ten ostatni od dawna alarmuje szkołę, ale bez rezultatu. A gdyby tak złożyć donos, że młode ćpany i ich dostawcy towaru z "Neptuna" wzięli przy sobie wraze ulotki, które chcą rozrzucić pod szkołą? To gwarantowałoby szybką i skuteczną interwencję i owocne przeszkucanie podejrzanych. (B.P.)

POGODA DLA "KRASNALI"?

"Surrealizm z ludzką twarzą" - to tytuł artykułu Z. Żbikowskiego w "Życiu Warszawy" na temat wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy. Do niedawna rozbieżności woda i pałami, wsadzani do aresztów i pobicie wani przez oficjeli - koledzy Waldemara Fryzyńskiego doczekali się tekstu pochwalnego w partyjnym organie. Sam "Major" uznany został za prekursora i twórcę sztuki happeningu - jedynego w swoim rodzaju. Surrealizm naszych partyjnych massmediów nadal nie ma co prawda ludzkiej twarzy, ale okazuje się być bez granic. (B.P.)

wspólna, zbyt często zawodną doktryną, że proces taki może przebiegać prawidłowo tylko w społeczności zintegrowanej. A więc we wspólnocie. Nie pogłębiający dostatecznie tej myśli - rozmaitość autorzy śpieszą z receptami: zorganizować życie szkoły tak a tak, wprowadzić to właśnie, a nie inne urzadzenia, zastosować owe socjotechniki i psychotechniki... Krótko mówiąc: zmienić luźną zbiorowość w monolityczny kolektyw. Niech będą solidarni, lubią się, pomagają sobie wzajemnie, rozliczają się i oceniają w grupie, wywierają kolektywny wpływ na zachowania i postawy jednostki (która: "zorem" i "bzdura"). I uczniowie - i nauczyciele.

Proponuje najpierw przeczytać uważnie następujący fragment klasycznej dzieł pracy Martina Bubera "Ich und Du", a następnie przypatrzeć się "wspólnocie" czy "kolektywom" uczniowsko-nauczycielskim w szkołach, "rodzinnej atmosferze" w internatach i domach dziecka, dziarskiemu koleżeństwu instruktorów i harcerzy w licznych szczeplach i drużynach:

"Prawdziwa wspólnota powstaje nie dzięki temu, że ludzie żyją do siebie wzajemne uczucia (choć naturalnie nie jest to bez znaczenia), lecz dzięki tym oto dwóm rzeczom: że wszyscy oni stoja w żywym związku wzajemnym z jakimś żywym centrum i że między sobą pozostają w żywej obopólnej więzi. Drugi warunek wynika z pierwszego, lecz nie jest przecież wraz z nim po prostu dany. Żywa, obopólna więź zawiera w sobie uczucia, ale z nich nie powstaje. Wspólnota budowana jest z żywej obopólnej więzi, lecz budowanym jest żywe, działające centrum". Warto Ci się zastanowić, pedagogu "tworzący" samorząd w rzekomej wspólnocie szkolnej lub internatowej, czy więzi formalne, jakie narzucaasz swym wychowankom, są choć trochę żywe - i czy Ty sam (a zwłaszcza oni...) zdajesz sobie sprawę z tego, że najpierw trzeba by pozyskać o czym buberowskim "żywym, działającym centrum"? I jak to Buber powiada, więź taka ma dwie postacie: prawdziwe życie publiczne i prawdziwe życie osobiste. Czy pod płaszczykiem "demokratycznych form współgospodarzenia szkoła", nie poświęcamy tej drugiej postaci - na korzyść pierwszej?

Trzeba by być np. Korczakiem czy Kamińskim, żeby zauważyć i wypraktykować więzi we wszystkich wspólnotach, pod wszystkimi ich postaciami. A może trzeba by być prawdziwym wychowawcą - człowiekiem? Takim, który zauważa, że więzi te - to wzajemne, a nie jednokierunkowe oddziaływanie. Je wychowawca, jeśli pragnie, by ulegali mu wychowankowie, musi się przyzwyczaić do myśli, że i on ulega wychowankom. Bowiem "...relacja jest wzajemnością. Moje Ty działa we mnie, jak ja działam w nim. Kształtują nas nasi uczniowie, tworzą nas nasze dzieła. "Człowiek zły" otwiera się przed nami, gdy sakralne słowo-zasada dotknęło jego bytu. Ileż rzeczy uczymy się od dzieci, od zwierząt! Żyjemy w potoku powszechnej wzajemności, bez reszty w niej zanurzeni". To też napisał Martin Buber. Przytaczam go, bo nie można myśleć o samorządzie, nie myśląc o zasadzie, według której człowiek myśląc o innych, myśli o sobie, zaś myśląc o sobie -

(...) należy:

- nadać formalny status istniejącej obecnie Komisji Rzecznictwa Praw Uczniowskich oraz odpowiednim komisjom regionalnym jako instytucjom niezależnym od administracji oświatowej i gwarantującym przestrzeganie praw ucznia;

- uczynić szkołę miejscem, gdzie w demokratycznych warunkach gwarantujących podmiotowość uczniów kształtują się twórcze postawy młodzieży oraz zapewnić zagwarantowaną prawnie autonomię samorządów uczniowskich, nadać status prawny lokalnym i ogólnopolskim sejmikom uczniowskim.

(...) dla uspołecznienia polityki młodzieżowej państwa, jej kształtowania i realizacji niezbędne jest kontynuowanie społecznego dialogu. Konieczne jest znalezienie takich jego form, aby wszystkie środowiska młodzieży, w tym nowopowstające mogły w nim uczestniczyć.

- w celu zapewnienia prawidłowego rozwoju psychofizycznego młodzieży konieczne jest wyrażne zwiększenie nakładów na ochronę zdrowia i kulturę fizyczną w szkołach, internatach i domach dziecka, hotelach pracowniczych i innych instytucjach tak, aby zapewnić młodzieży rzetelną opiekę lekarską oraz systemowe rozwiązywanie problemów patologii społecznej.
(z ustaleń zespołu ds. młodzieży "okrągłego stołu")

musi wliczać w ten świat bliznich, z którymi wchodzi w liczne i różnorodne relacje.

Julian Radziejewicz
(fragment większej całości)

1. G. Simmel: Socjologia. Warszawa 1975, PWN, s. 499-500
2. Tamże, s. 369
3. B. Russell: Power. A New Social Analysis. London 1963, Allen and Unwin, s. 201
4. Tamże, s. 186

PIROTECHNICZY

Dwaj jedenastoletkowie z Podhala (spójnicy?) podpalił szkołę i to tak ociężała, że 10 strażaków pożarnych nie dało rady jej ugasić. Obaj, Jacek z Markiem, mieli w dzienniku po kilka dwój. Dziennik był zbyt dobrze strzeżony przez nauczycieli, więc postanowili go spalić z całym budynkiem, co uczynili. Nasza prasa, podając tę sensację do wiadomości publicznej, zaznaczyła z naciskiem (a nawet rozwodzić się nad tym), że... rodzice chłopców byli b. zamożni, bo zarabiali dolary w Ameryce. Ani słowa o tym, jaka to była ta szkoła. No, jeżeli w Tatrach, to przynajmniej na wysokim poziomie. Była... A co z Jackiem i Markiem? Prasa nie podaje. (B.P.)



SZTUKA PATRZENIA



Galeria II

Pokochałam Krzyż mego Boga. Pokochałam Boga na tym Krzyżu. Bóg ukrzyżowany przyszedł poprzez obraz. Obraz jest dziwny i szalony, tak jak człowiek, który go stworzył - Salvador Dali.

Stoję i patrzę na świat z Krzyżem. Nagle uświadamiam sobie, że widzę Ziemię oczami tego, który wisiał na Krzyżu. Ale gdzie jestem ja? Widzę głowę Jezusa. Jestem ponad Krzyżem! To niepojęte! Nikt inny w ten sposób nigdy nie "umieścił" mego wrzasku. Pierwsza myśl: przecież to niemożliwe, nikt ponad Boga, ten widok jest dla Niego, nie dla mnie. I pokusa: czuję coś z wielkością pyznanego człowieka. Myśl druga: Panie, przecież taki sam widok musiał oglądać ten, który określał, że Ty jesteś Królem Świata. Co

czuć, przybijając nad Tobą trójjęzyczny napis? Być może tryumf, tak jak ja przed chwilą, zwycięstwo człowieka?

Gdy patrzę na Ziemię ponad Twoim Krzyżem, między mną a moją planetą jesteś Ty. Czuję jak staje się coraz mniejsza. To dziwne - z takiej wysokości widzę coraz wyraźniej swoje słabości, swój grzech. Chciał znaleźć się na tej odległej planecie, tam, w dole, ale nie mogę! Stoję przed obrazem i nie potrafię spojrzeć na Ciebie jeszcze raz. Kolejna myśl to już tylko modlitwa o to aby być p o d Krzyżem.

Jestem człowiekiem, nie mogę wybrać innego miejsca, nie chcę. Znalazłam miejsce pod Krzyżem. Ta ziemia jest święta, ale Ty przeznaczyłeś ją dla mnie. Tu można dotknąć Twojego Drzewa, tu otrzymuję życie.

Stojąc przed obrazem poznaję swoją beznadziejność: kłęcząc na ziemi przed Krzyżem odcierpię Twoją mac - nadzieję.

Genialny artysta. Odwracam wrzask, jestem na swoim miejscu, kłęcząc na stepowej ziemi.

Rozmowa ze Stanisławem Barańczakiem

Redakcja - *Rodzinnym miastem Pana jest Poznań. Ukończył Pan polonistykę na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza. Jak wyglądało studium w dobie rządów Gomułki?*

Stanisław Barańczak - Muszę powiedzieć, że studium w dobie Gomułki wyglądało nie tak źle, jakby się to mogło wydawać dzisiaj. To znaczy, wszystko zależało od uniwersytetu, od konkretnych ludzi, jacy uczyli; i tak się złożyło, że w 1964 roku, kiedy ja przychodziłem na studia polonistyczne do Poznania, tworzył się tam akurat świetny zespół ludzi: wykładowców, którzy byli głównie uczniami prof. Jerzego Ziłka - specjalisty od renesansu i jednocześnie literatury współczesnej. Właśnie te zainteresowania Ziłka - do tego interesował się jeszcze teorią literatury - te trzy pola, bardzo różne, a zarazem uzupełniające się, tworzyły taki szeroki zakres tematyczny. To spowodowało, że wielu jego uczniów stało się później wybitnymi naukowcami, wykładowcami - przede wszystkim Edward Balcerzan, który był takim moim mistrzem na studiach, od którego bardzo wiele się nauczyłem; i cała masa innych, bardzo ciekawych ludzi, z którymi miałem kontakt od najwcześniejszych tygodni moich studiów i którzy, wydaje mi się, wiele swojej wiedzy przelali we mnie i mieli na mnie - niektórzy z nich - duży wpływ osobisty... Tak, że od wielu stron: od strony naukowej, i osobistej, byli to na ogół znakomici ludzie i myślę, że te studia między 1964 a 1969 rokiem - w trudnym bardzo okresie końcowych lat rządów Gomułki, kiedy skądinąd w kulturze działy się coraz bardziej niepokojące rzeczy - te studia były właśnie jakąś bazą prawdziwej myśli naukowej i przyzwrotności ludzkiej.

Red. - *A czy istniały wówczas niezależne organizacje studenckie?*

S.B. - Nie, wtedy nie. Owszem, istniały naukowe grupy, takie jak Koło Naukowe Polonistów, do którego od początku należałem i które pełniło rolę oczywiście nie polityczną, tylko właśnie taką samokształceniową, jak kółko dyskusyjne - od tej strony było to bardzo ważne. Ale niezależnych organizacji, które by dbały o interesy studentów w szerszym sensie, oczywiście nie było. Było ZSP, jeszcze wtedy w miarę... nie chcę powiedzieć niezależne, bo oczywiście było zależne od władz politycznych, ale miało dość szeroki margines inicjatyw kulturalnych i w tym sensie, w studenckim siołu kulturalnym, ZSP, trzeba powiedzieć, odegrało dość dobrą rolę.

Red. - *A teatry alternatywne? Bo chyba wtedy się zaczęły... Widział Pan narodziny Teatru Osmego Dnia...*

STANISŁAW BARAŃCZAK - ur. w 1946 r. w Poznaniu, poeta, krytyk, tłumacz. Debiutował w 1965 roku. Był jednym z założycieli Komitetu Obrony Robotników i kwartalnika "Zapis". W latach 1976-80 objął zakazem druku w PRL, w 1977 pozbawiony pracy na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od marca 1981 przebywał w USA, gdzie wykłada literaturę polską na Uniwersytecie Harvarda w Bostonie. Redaktor naczelny "The Polish Review" i współredaktor paryskich "Zeszytów Literackich".

Opublikował m.in.:

- tomiki poetyckie: "Korekta twarzy" (Wyd. Poznańskie, 1968), "Jednym tchem" (Wyd. Orientacja, 1970), "Sztuczne oddychanie" (samizdat 1974, Aneks 1978, KOS 1980), "Tryptyk z betonu, znaczenia i śniegu" (KOS 1980, Instytut Literacki 1981), "Atlantyda i inne wiersze z lat 1981-1985" (PULS 1986, Aspekt 1987);
- krytyka: "Nieufni i zadufani" (Ossolineum 1971), "Ironia i harmonia" (Czytelnik 1973), "Język poetycki Mirona Białoszewskiego" (Ossolineum 1974), "Etyka i poetyka" (Instytut Literacki 1979, ABC 1981), "Książki najgorsze 1975-1980" (KOS 1981), "Czytelnik ubezwłasnowolniony" (Libella 1983), "Uciekinier z Utopii: o poezji Zbigniewa Herberta" (Polonia 1984, wydanie angielskojęzyczne "A Fugitive from Utopia: The Poetry of Z. Herbert", Harvard Univ. Press 1987)
- przekłady: Dylan Thomas "Wiersze wybrane" (Wyd. Literackie 1974); Osip Mandelstam "Późne wiersze" (Oficyna Poetów 1977, NOWA 1979); Józef Brodecki "Wiersze i poematy" (NOWA 1979); Gerard Manley Hopkins "Wybór poezji" (Znak 1981); "Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVIII wiecza" (PIW 1982); e.e. cummings "150 wierszy" (Wyd. Literackie 1983); John Donne "Wiersze wybrane" (Wyd. Literackie 1984).

S.B. - *No, nie tylko widziałem, ale byłem przy nich...*

Red. - *Tak, był Pan jednym z założycieli...*

S.B. - ...uczestniczyłem jako akuszerka w tych narodzinach, można powiedzieć - byłem pierwszym kierownikiem literackim tego teatru. To bardzo szumnie brzmi, ale to oczywiście był maleńki teatrzyk i skromne były jego zamierzenia na początek. Właściwie był to głównie teatrzyk poezji - aktorzy, studenci pierwszych lat polonistyki, recytowali po prostu wiersze na scenie i to były pierwsze nasze przedstawienia; dopiero potem, kiedy w parę lat później kierownikiem artystycznym został Lech Raczka, zaczęła się jakaś bardziej ambitna sprawa: teatr zaczął wystawiać sztuki, potem własne scenariusze - i stał się takim, jakim znamy go dzisiaj: Teatrem Osmego Dnia bardzo wybitnym...

Red. - *...jakim - właściwie - b y ł, bo już go prawie nie ma...*

S.B. - Tak, oczywiście, ju prawie wszyscy członkowie zespołu powjeżdżali za granicę i praktycznie teatr w kraju nie istnieje. Wiem, że oni wystawiają za granicą swoje przedstawienia. Ale wtedy była to bardzo ambitna rzecz, w pierwszych latach kierownictwa artystycznego Raczka. Ja, po kilku latach, kiedy bardzo ściśle współpracowałem z teatrem, siłą rzeczy rozstałem się z nim przez prosty fakt, że zajmowałem się coraz więcej nauką, własnym pisaniem itd. - i na to mi nie starczało czasu, ale jakoś duchowo i w sensie przyjaźni byliśmy sobie zawsze bardzo bliscy i do tej pory chyba jesteśmy. Myślę, że w okresie tych największych tryumfów teatru, kiedy mnie już tam nie było jako kierownika literackiego, stałem się jednym z widzów, jednym z przyjaciół tego teatru.

Red. - *Czy może Pan powiedzieć kilka słów o pierwszych poznańskich "STRUKTURACH"?*

S.B. - To była inicjatywa, z którą nie byłem zbyt blisko związany, ale oczywiście ważna, w tym sensie, że był to - nie wiem, czy pierwszy w Polsce, ale pierwszy w tym rejonie Polski na pewno - organ mównicowy, tzn. taka gazetka, której autorzy odczytywali swoje teksty. Ta forma podawcza przetrwała do dzisiaj, odrodziła się w bardzo ważnych pismach, jak "WAŚLÓŚ" czy ta kontynuacja "STRUKTUR", jaka istnieje w tej chwili. To samo jest, o ile wiem, w Gdańsku, we Wrocławiu - coraz popularniejsze są takie właśnie

sposoby przekazywania swoich produkcji literackich czy krytycznych. Wtedy, w tych latach studenckich, nie byłem zbyt blisko związany ze "STRUKTURAMI", ale oczywiście wiedziałem o ich istnieniu, przychodziłem czasami na ich produkcje i to była jedna z form mieszczących się w tym właśnie ZSP-owskim modelu kultury.

Red. - A gdy rozpoczął Pan pracę asystenta na uniwersytecie - kiedy zaczęły się trudności i jak wyglądały?

S.B. - To narastało bardzo stopniowo; tzn. od początku byłem trochę politycznie podejrzany w oczach władz, dlatego, że w okresie Marca, jeszcze jako student, naraziłem się tam dosyć znacznie. Byłem jednym z autorów takiej proklamacji - czy pisma - do rektora uniwersytetu, w której bardzo ostrożnie usiłowaliśmy sformułować polityczne cele i dążenia rzeszy studenckiej. Uczestniczyłem w jakichś manifestacjach, byłem przesłuchiwany przez SB kilka razy - to wszystko, oczywiście, było w aktach i jakoś ciążyło na mnie. Z drugiej strony była wielka przyzwyczajoność ludzi, którzy pracowali na polonistycie poznańskiej, byli tam kierownikami katedr czy potem dyrektorami instytutów - i mimo tych trudności zatrudniono mnie. Jako asystent, potem jako adiunkt, po zrobieniu doktoratu, pracowałem kilka lat, do 1977 r. Jeszcze nieco wcześniej, ponieważ w 76-tym r. wstąpiłem do KOR-u i zacząłem publikować swoje utwory w podziemnej prasie i także w emigracyjnych oficynach. Jakis rok przed ostatecznym wyrzuceniem z pracy, w lecie 77-go r. zawieszono mnie - w tym sensie, że nie miałem prawa uczenia, przynajmniej studentów dziennych, pozostawiono mi jeszcze przez jakiś czas studentów nocnych. To nie było zawieszenie karne, tylko takie zachowanie jakby z ostrożności, żeby można było się wykazać przed władzami, za jednak odsunęli się trochę od Barańczaka i jest z nim na chwilę spokój. Wiąc to było coś, na co się właściwie godziłem i myślałem wtedy, że to będzie przejściowe. Jak się okazało w 77-mym r., na skutek nacisków bezpośrednich uniwersytet mnie wyrzucił. To była cała skomplikowana sprawa, bo oczywiście jako motywacja posłużyły dyscyplinarne zarzuty: miałem wtedy proces, spowodowany przez SB, o to, że rzekomo jakimś urzędnikowi wręczyłem łapówkę. To była czysta bzdura oczywiście i ten urzędnik był jedynym świadkiem oskarżenia, ale ta spowodowana historia zaowocowała rokiem więzienia w zawieszaniu i w związku z tym zwolniono mnie dyscyplinarnie, ponieważ nie byłem godny uczyć młodzież polskiej. A prawdziwą motywacją było to, co potem rektor w rozmowach z moimi kolegami wprost powiedział: że po prostu moje publikowanie za granicą, moje przynależność do KOR-u - nie pozwalają mi utrzymywać dłużej jako pracownika uniwersytetu. Była to więc podwójność tego, co się mówiło na zewnątrz i tego, co się mówiło w wewnętrznym kręgu uniwersyteckim i ja sobie z tego doskonale zdawałem sprawę. No i właśnie w 77-mym roku hucznie i szumnie zwolniono mnie - w tym sensie szumnie, że były wielkie protesty wielu kolegów i zwłaszcza studentów; studenci podpisali jakąś petycję, na której było... nie pamiętam ile - czterysta? - podpisów i bardzo walczyli o mnie, tak że ogromnie to sobie cenilem i było to dla mnie ważne od strony czysto wewnętrznej, duchowej.

Red. - I wtedy zaczął się "ZAPIS"?

S.B. - "ZAPIS" zaczął się nieco wcześniej, w zasadzie był już organizowany od jesieni 76-go r. - i organizowanie tego pisma literackiego wyglądało bardzo ciekawie... Redaktorami była grupa bardzo wybitnych pisarzy, do których ja miałem honor jakoś być wciągnięty. Początkowe decyzje były bardzo interesujące, choć właściwie mogłyby się wydawać śmieszne z dzisiejszego punktu widzenia: myśmy po prostu zupełnie nie wiedzieli, co nam grozi, to była bezprecedensowa sytuacja, że ktoś chce wydawać pismo poza cenzurą. Oczywiście zrobiliśmy wszystko, żeby się zabezpieczyć, posłaaliśmy pismo w tej sprawie do jakichś tam władz, do Rady Państwa czy do kogoś, już nie pamiętam, w każdym razie, żeby utrzymać wszystko w sferze działalności publicznej, jawnej, żeby nam nie zarzucano, że bawimy się w jakąś konspirację. I kiedy, oczywiście, te pisma zostały zignorowane, wydaliśmy pierwszy numer - i pamiętam, że na pierwszych zebraniach komitetu redakcyjnego dyskutowaliśmy, co nam zagraża w sensie czysto prawnym, w sensie kodeksu karnego. I właściwie nikt nie był pewien, dlatego że przepisy były sformułowane bardzo niejasno - celowo, oczywiście; nie było jasne, czy może od odpowiedzialności karnej, czy sam fakt wydania czegoś poza cenzurą będzie ukarany, ale postanowiliśmy pójść na całego,

podpisać to naszymi nazwiskami - i tak się ten pierwszy numer, odbijany na maszynach do pisania, ukazał a potem to się już lawinowo rozrastało. Oczywiście nie chcę powiedzieć, że "ZAPIS" był pierwszym piśmem w ogóle w podziemiu - był pierwszym piśmem literackim, a już wtedy od paru miesięcy ukazywał się "BIULETYN INFORMACYJNY" i parę jeszcze piśm politycznych.

Red. - Jacek Bierozin w wywiadzie z Janem Dołęgą, w "KULTURZE", nr 1-2 z 1982 r. stwierdził, że: "ZAPIS powstał przeciwko cenzurze i nie był redagowany jak pismo. (...) Uważałem ją (tzn. formułę pisma) za zbyt mało ekspansywną, za kompromisową. Uważałem, że pismo niezależne powinno w ogóle pomijać fakt istnienia cenzury, powinno być redagowane tak, jakby jej nie było". A co Pan o tym sądzi?

S.B. - Nie, nie mogę się z tym zgodzić. Wydaje mi się, że myśmy musieli po prostu przejść - jako to pierwsze pismo literackie poza cenzurą - przez ten wstępny etap, w którym istnienie cenzury musieliśmy sobie jakoś intelektualnie rozważyć i załatwić, musieliśmy z tego wyciągnąć jakieś wnioski, musieliśmy "rozpracować" sobie fenomen cenzury i nikt tego za nas nie był w stanie zrobić, właśnie my byliśmy do tego najbardziej powołani jako ci, którzy najwięcej z cenzurą jako autorzy mieli do czynienia. Tak też myśle, że było to bardzo ważne, że w pierwszych numerach "ZAPISU" ukazało się kilka artykułów na temat działalności cenzury, od strony historycznej czy teoretycznej; że kwitowaliśmy ingerencje cenzury w dziełach pisarzy i w ogóle w kulturalnych wydarzeniach, ilekroć się zdarzały - i to wszystko tworzyło dość ważną dziedzinę działalności pisma.

Jeżeli natomiast Bierozin ma na myśli, że początkowo materiały, które drukowaliśmy, były - częściowo przynajmniej - materiałami odrzuconymi przez cenzurę, no to oczywiście zgoda, taki etap też przeszliśmy z początku: że nie były to wyłącznie teksty pisane bezpośrednio do nas, tylko teksty również z szuflad - ale coś trzeba było z tymi tekstami zrobić i mieliśmy właściwie obowiązek zająć się nimi i niektórych z nich wydrukować. To reszta po kilku numerach już ustało i przerodziło się w działalność bardziej samodzielną, właśnie taką jak gdyby ignorującą cenzurę: mieliśmy już teksty pisane bezpośrednio dla nas, prowadziliśmy świadomą politykę redakcyjną, zamawialiśmy teksty itd. Z tym nie zawsze było alejpiej, bo zarzucano ZAPISU wielokrotnie, że drukowaliśmy głównie recenzje wydawnictw podziemnych i nawet książek autorów z naszego kręgu, w jaki sposób. Ale ja się nie, powiedzmy, trzech recenzentów - i wychodzi w ciągu kwartału - bo to był kwartałnik - pięć ważnych książek wydanych w podziemiu, to siłą rzeczy pismo wydawane poza cenzurą musi przede wszystkim te książki recenzować, siłami ograniczonymi, jakie ma. Gdybyśmy mieli więcej recenzentów, gdybyśmy mogli więcej recenzji zamieszczać, to z pewnością byśmy pisali też więcej o książkach wydanych "nadziemnie".

Red. - A czy uważa Pan, że to była działalność entuzjastyczna, czy raczej - desperacka?

S.B. - Z początku była na pewno desperacka - całe powstanie ZAPISU było właściwie taką desperacką odpowiedzią na sytuację, w której nie można było nic napisać ani wydrukować, bo o cokolwiek się mówiło: czy o powstaniu styczniowym, czy o katastrofach w kopalniach, czy o tym, że... ten słynny przykład, że kit w oknach w szkole podstawowej w Gdańsku wydziela jakieś trujące opary i nie wolno o tym pisać. Niech się dzieci trują, ważne, żeby nie było paniki - czy może raczej: ważne, żeby pewne fakty w ogóle nie istniały, bo nie będą nazwane - to było główne zamierzenie cenzury. Więc w takiej sytuacji to było dość desperackie z naszej strony, ale myśle, że entuzjazm się narodził bardzo szybko i zastąpił tę desperację, bo widzieliśmy coraz wyraźniej, że powołaniem pisarza jest nie bawić się w układy jakieś czy dyskusje z cenzorem, tylko w ogóle ignorować go i pisać po swojemu, otwarcie, tak jak sumienia dyktuje.

Red. - Z czego - Pana zdaniem - wynikał poetyka "pokolenia 68", tzw. poetyka "mówienia wprost"?

S.B. - Trzeba zacząć od tego, że ta poetyka nie była w 1 a o z n a poetyka w tym pokoleniu; ja bym powiedział, że ona była ta, która najbardziej kontrastowała z tym, co było poprzednio, ale ebok "mówienia wprost" istniały też inne style, inne postyki; i ja sam miałem dużo czytało teoretycznych zastrzeżeń do tej koncepcji, która raczej była propagowana przez poetów krakowskich, przez Adama Zagajewskiego, Julia-

Rozmowa ze Stanisławem Barańczakiem

na Korbousera i innych. Ale ogólnie rzecz biorąc myślę, że przy różnicach stylu było coś, co łączyło to pokolenie z początku; potem się te drogi zaczęły rozchodzić, oczywiście, ale w pierwszych latach taka wspólnota myślowa była wyraźna - i myślę, że podłożem tego było, tak jak zawsze w takich sytuacjach, pewne przesłanie pokoleniowe; tzn. myśmy jako bardzo młodzi ludzie, głównie studenci w tym okresie, przeszli przez bardzo dramatyczne doświadczenie Marcja. Marzec był tylko jakby kulminacją pewnego doświadczenia, które się już zaczęło wcześniej; po prostu doświadczenie było w tej Polsce Gomułki, w tym systemie przetrwałego kłamstwa i bzdury, i ogólnego poczucia bezsensowności - to wszystko w Marcju i potem w Grudniu 70 r. miało dwa takie szczytowe punkty. Dla nas szczególnie to masowe doświadczenie było ważne, że myśmy w tym po prostu bezpośrednio uczestniczyli i doświadczyliśmy, jak pewne mechanizmy tutaj grają, np. mechanizm kłamstwa jest wprowadzany w życie przez prasę czy telewizję; samo to namacalne dla nas doświadczenie, że gdy my mamy jakieś postulaty, chcemy "zrealizować" - odmawiają się nas jako chuligarów stukających w drzwi i bijących milicjantów; a to my sami jesteśmy przecież bici niź bijący - to tworzyło sytuację, w której pewne rzeczy trzeba było od podstaw przemyśleć. Wzrostkiem tego w literaturze było jakieś generacyjne odwołanie się przez młodych ludzi, którzy wówczas pisali, ku problemom społeczeństwa raczej niż prywatnym - to była taka najbardziej zauważalna cecha tego pokolenia. Podobnie jak pewne konsekwencje w dziedzinie stylu, po prostu inny sposób mówienia w poezji, w literaturze, przechwycenie pewnych mechanizmów języka, propagandy na przykład, po to, żeby je nie do końca rozsadzić i wykazać ich całą bzdurność, bezsensowność i niesprawiedliwość. Te poszukiwania były o kilku kierunkach na raz, bardzo różnych, ale łączyły w sumie jakieś myślową całość. Istniało wtedy jakieś poczucie wspólnoty, bardzo silne, które wiązało się z tym bardzo pamiętnym Jeszcze Marcelem.

Red. - *Polski tomik z 1974 r. zamiera metaforą: "Prawdziwie, mówim wszyscy oddychamy; powietrze, budym duszy we wszyscy..." - ta świadomość była uwigłaniem czy to w słowach, czy to we własnym ciele, czy we własnym kraju - i w ogóle w świecie, który jest jedną wielką całością... Czy uważa Pan, że w sobie nigdy można jednak znaleźć wolność?*

S.B. - Myślę, że myśmy w tych latach taką świadomość po prostu doświadczyli i właściwie cały ten spór, który się później w literaturze pojawił, razem z tzw. ruchem nowej prywatności, w drugiej połowie lat 70-tych - ten spór wydawał mi się dosyć fikcyjny w gruncie rzeczy i w zasadzie rozdmuchany, bo my właściwie za taką nową poprawnością optowaliśmy w ramach tego ruchu Nowej Fali. Chodził mi o to, że tzw. tematyka społeczna, która rzekomo ma stanowić wyróżnik Nowej Fali, nie można tego w taki sposób ujmować, po prostu trzeba zauważyć, że ta tematyka społeczna w gruncie rzeczy polega na tym, że ta poezja broni praw jednostki i to jest aktem społecznym - bronienie jednostki przed naciskiem kolektywnych, zmasowanych form widzenia świata czy narzuconych przez propagandę form mówienia i myślenia... Więc o to nam chodziło właściwie od początku i jakkolwiek, rzecz jasna, różni drugorzędni twórcy w tej Nowej Fali, różni epigoni, czyli w kierunku jakiegos "nowego socrealizmu", to taki nurtu się na pewno nie stosuje np. do Adama Zagajewskiego, który od początku, jakby tak dobrze czytał jego poezję, był właśnie obrońcą jednostkowej prywatności, prawa jednostki do samodzielnego myślenia, prawa do ironii, do sprzeciwu. Zupełnie się to nie stosuje do Krynickiego - to jest poezja głęboko prywatna, jednostkowa i indywidualna. I myślę, że u mnie samego coś takiego też zawsze istniało. W tym poezmie "SZTUCZNE ODDYCHANIE" - niby jest, oczywiście, jakiś portret Polski tych lat, ale przede wszystkim portret szarego człowieka, który tam występuje jako główny bohater, ten N.N.; on jest anonimowy, ale tylko w tym sensie, że nie ma nazwiska - ale jest bardzo konkretna postać, ma swoje cechy charakteru, swój wiek, swój wygląd jakoś pośrednio opisany. Myślę, że to, co w tej poezji przetrwało do dzisiaj, co stało się da czytać, to właśnie ten nurt skupienia się na jednostce i jej problemach, widzianych jednocześnie jako problem społeczny, bo po prostu nie można było wtedy mówić o jednostce nie

poprzez to, że jest to akt politycznego zachowania. Samo bronienie jednostki przed naciskiem kolektywnym było właściwie takim wyznacznikiem nowego w tworz istniejącego systemu. Myślę, że w ogóle wszelkie dzielenie tych dwu sfer istnienia jednostki w świecie: sfer prywatnej i sfery publicznej i publicznego wyróżniania na tej podstawie jakichś tendencji przez lat 70-tych czy 80-tych jest właściwie zupełną fikcją, dlatego, że te rzeczy się nie dało oddzielić, one zawsze przepływały jedna w drugą i podlegały jednej drugiej. To w krajach takich jak, powiedzmy, Stany Zjednoczone czy Szwajcaria można sobie wyobrazić kogoś, kto istnieje czysto prywatnie, kto się w nic nie angażuje, kto w ogóle jest "czymś dla siebie". Natomiast w krajach takich, jak Polska nawet to, że się natomiast stara wycofać w prywatność, jest aktem politycznym w jakiś sposób i publicznym, oczywiście w naszym tywnym odbiciu...

Red. - *"Emigracja wewnętrzną" - tak się to określało...*

S.B. - Właśnie, słynne pojęcie "emigracji wewnętrznej". To jest jak najbardziej publiczny akt polityczny ma swoje publiczne reperkusje i to przede wszystkim ucieczki. Jest taki słynny wiersz Wiesławy Szymborskiej, w którym się mówi - z wielką ironią oczywiście - że cokolwiek się w dzisiejszym świecie zrobi, nawet jak się pisze wiersze apolityczne, jest aktem politycznym. I ona ma tutaj zupełnie rację, mimo że pisze to z pewnym sarkazmem; tak istotnie jest i trzeba pewne wnioski z tego wysnuć, po prostu. Wydaje mi się, że to co było najcenniejsze w tej poezji lat 70-tych - to właśnie próba wysnucia z tego praktycznych wniosków.

Red. - *Która z debiutów poetycznych lat 80-tych Pana najwyżej?*

S.B. - Staram się czytać bardzo uważnie to, co się w młodszej poezji ukazuje, bo wiele to po prostu doświadczenie interesuje. Siła rzeczy, jak się wkręca w wiek średni, to człowiek się ogląda, kto z okładanych mu tam depcze po piętach i robi się to z poczuciem pewnego zagrożenia, ale zarazem z wielką przyjaźnią, jak się coś autentycznego i ważnego pojawi w młodej poezji. Ja tu zresztą jestem o tyle jeszcze zainteresowany, że staram się jako krytyk o tej poezji pisać i po prostu o b c s, żeby było coś interesującego, żebym miał o czym pisać, prawda? Staram się skupić na tej poezji na język angielski z pomocą takiej bądź współpracownicy, Amerykanki, i robić jakieś zapowiedzi z nowszych zjawisk poezji polskiej - więc to wiele mi pობудza do zainteresowania i oczekam na takie nowe rzeczy, żeby się szerzej i oficiej ukazywały.

Myślę, że z takich debiutów najciekawsze są chyba dwa, może trzy. Trudno właściwie mówić o debiutach, bo jeden z tych trzech debiutantów już od dość dawna publikuje, ale w latach 80-tych się jakby ujął bardziej. To: Bronisław Maj, Jan Polkowski i jego trzeciego bym wymienił Piotra Sommera... Oni wszyscy byli urodzeni gdzieś tak między 49-ym a 50-cim rokiem - czyli nie tak znowu wiela młodość ode mnie, ale jednak młodość; i wkroczyli do literatury albo w późnych latach 70-tych, albo w latach 80-tych. Wierzą różne są to propozycje, ale każde z nich bardzo ciekawe. Wydaje mi się, że u Maja najbardziej jest zwrot ku tematyce, ogólnie mówiąc, metafizycznej i ciekawe językowe i stylistyczne tego ujęcie. Polkowski imponuje mi jako poeta skłonny do związłości, do gestości znaczeń i jego moralistyczna tematyka ukazuje przez to dużą nośność i dobitność - w tym jest chyba uczniem Krynickiego, którego też bardzo cenię, mojego zresztą blijskiego przyjaciela - ale uczniem twórczym i pogłębiającym Krynickiego w jakiś sposób. I wreszcie Sommer - bardzo ciekawy jako poeta, w którego języku może najbardziej za wszystkie obecne piszących odbija się codzienność Polski, po prostu. Sommer w jakiś sposób przejmując palestynę po Białoszewskim i tworzy wiersze, w których właśnie w tym samym języku, sposobie mówienia, intencjach, pewnych zwrotach charakterystycznych, odbija się bardzo wyraźnie polska mentalność w obecnej chwili; mentalność może zaważona do kręgu inteliganckiego - ale jest to ciekawe i wiele jego wierszy jest dzięki temu artystycznie bardzo przekonujących. Więc to są także

trzy nazwiska - jako próba pokazania, że ja tę poezję czytam. Oczywiście są i znacznie młodszy - w tej chwili może nie chciałbym żadnego nazwiska cytować, bo na wielu z nich czekam, aż się jeszcze jakos potwierdzą czy bardziej sprawdzą - ale staram się to śledzić, oczywiście i wśród morza zupełnie śmiałca, które się ukazują, jest stale jeszcze wiele cennych debiutów i nowych propozycji.

Red. - Jakże są Pańskie plany na najbliższą przyszłość?

S.B. - No cóż, bardzo wiele planów właściwie, bo tak się składa, że w tej chwili wróciłem do uczenia po roku urlopu naukowego i w ciągu tego roku bardzo wiele zdażyłem zrobić, wiele zdażyłem też zacząć. Tak, że kilka co najmniej rzeczy na raz mam na biurku i stale nad nimi pracuję, tak "z doskoku", zmieniając co chwilę pole i temat pracy - ale kilka takich rzeczy się rysuje w tej chwili. Zaczęną może od tłumaczeń, bo tego było jakoś ostatnio najwięcej. Ukazał się wybór wierszy Brodskiego w serii "ZESZYTÓW LITERACKICH", który zredagowałem i większość wierszy przetłumaczyłem. Wkrótce ukaże się wybór Tomasa Venclowy, poety litewskiego, który też zredagowałem i częściowo przetłumaczyłem; tam będą też przekłady Miłosza i Wiktora Woroszyńskiego. To będzie pierwsza prezentacja książkowa tego poety, który jest najwybitniejszym poetą języka litewskiego; działającym w tej chwili. Z przekładów ukaże się też moja, znacznie poszerzona, "Antologia angielskich poetów metafizycznych", która kiedyś już wyszła, w 1982 r. w PIW-ie. Teraz PIW zamierza wydać - z tego, co mi mówiono - rozszerzone wydanie, które przedłożyłem. I wreszcie - wiersze George'a Herberta, jednego z poetów metafizycznych, mają się ukazać w "Znaku" jako osobny tomik. Mam na warsztacie, oczywiście, jakieś dalsze przekłady: Philipa Larkina - niedawno zmarły, bardzo wybitny poeta brytyjski, który mi się szalenie podoba. Tłumaczą też Shakespeare'a - zrobiłem w sumie trzy przekłady w ciągu ostatnich paru lat. Najważniejsze dwa z tych trzech to "Burza" i "Król Lear", oba wystawione przez Teatr Powszechny w Warszawie.

To byłoby tyle z przekładów. Z krytyki: niedawno wyszła taka moja książka "Przed i po", która gromadzi szkice i recenzje o tomikach poetyckich krajowych z lat 70-tych i 80-tych. Pracuję teraz nad taką książeczką, w której będą analizy trzech wybitnych dzieł poetyckich, które narobiły dużo szumu i właściwie skandali, analizy recepcji publicznej tych trzech dzieł poetyckich - poematów, powinienem właściwie powiedzieć. Każdy był inny i każdy w innej epoce historycznej się pojawił, ale ten mechanizm skandalu jest czymś, co je łączy. Chodzi mi o "Bal w Operze" Tuwiana, "Poemat dla dorosłych" Ważyka i "Pamiętnik z powstania warszawskiego" Mirona Białoszewskiego. Ta ostatnia jest oczywiście książka prózatorska, ale ja ją uważam za dzieło poetyckie w jakimś sensie - w sensie organizacji językowej itd. Więc - taka książka o trzech skandalach.

I wreszcie: pracuję nad dwiema rzeczami po angielsku, na użytek amerykańskiej publiczności. Wyszła zresztą moja książka o poezji Herberta, po angielsku, i była ciepło - chyba - przyjęta. W tej chwili pracuję nad zbiorem szkiców, które przez te osiem lat tu, w Ameryce, konsekwentnie pisałem dla piem literackich amerykańskich - głównie o literaturze polskiej, ale także o życiu politycznym Polski i szerzej: o Europie Wschodniej i różnych pisarzach z tego kręgu. Z takich bardzo dużych zamierzeń, które zajma mi jeszcze co najmniej kilka lat - pracuję nad obszerną historią poezji polskiej po drugiej wojnie światowej, po angielsku; rodzaj takiego właściwie ni to podręcznika, ni to popularnego zarysu.

I to może tyle z krytyki, pomijając jakieś drobniejsze plany. Trzecią dziedziną są - moje własne wiersze. Po wydaniu tomiku "Atlantyda", który gromadził pierwszą porcję wierszy pisanych już w Ameryce, po wyjeździe z kraju w 81-ym roku i który wyszedł w Londynie, w bibliotece PULSU, napisałem już nowy tomik, szesnasty, ale, powiedziałbym, "gesty", w którym jest 25 wierszy i one wyjdą pod tytułem "Widokówka z tego świata", w tej serii ZESZYTÓW LITERACKICH, ukazującej się od jakiegoś czasu. Myślę, że te wiersze może trochę zamoczą tych, którzy jakoś stale mnie czytają, bo one są dosyć dziwne, są dosyć różne od tego, co pisałem poprzednio. Nie chce za dużo o tym mówić, ale będzie to jakieś krok... nie wiem, czy naprzed, ale w jakąś inną stronę - w tym, co piszę.

Red. - Dziękuję Panu za rozmowę.

(Cambridge, Massachusetts, 10.XII.1986)
Wywiad przeprowadziła i opracowała A.B.

Młode dobre Małżeństwo Obok Pierrota

W listopadzie ubiegłego roku odbyły się we Wrocławiu drugie już Spotkania Kameralne '88, w lutym bieżącego roku "Róża Pierrota" w Gdańsku, tydzień później zaś we Wrocławiu kolejny już Wieczór Kameralny.

Mimo, że rodowód tych imprez nie jest zbyt daleki, są to jednym słowem świeże pomysły, nowe inicjatywy zdażyły uzyskać pewien (oczywiście lokalny) rozgłos. Maja chyba już swych zagorzałych zwolenników jak i takich, którzy podają w wątpliwość ich cele i racje bytu.

Wszystko to najkrócej można określić mianem "spotkań znaczących" ze względu na ich specyficzny zasięg (młodzież szkół średnich) i swobodną nieskrępowaną niczym formę (choćby brak cenzury) oraz ciekawy pomysł organizacyjny (ten ostatni wart z pewnością naśladowania w innych środowiskach). Warto bowiem przypomnieć, że wszystko tu przeprowadza młodzież niejako własnym sumptem, bez oglądania się na pomoc i radę "fachowców" i innych "działaczy". To z pewnością imponuje! A wszystko to wymaga wiele pracy, wysiłku i zaangażowania (wszyscy wiemy przecież jak trudno u nas cokolwiek załatwić). Wszystko to jednak brzmi zbyt pięknie (przynajmniej do tej pory). Gtóż zdawać by się mogło, że stworzono w końcu w paru przynajmniej miejscach na mapie scenę otwartą, prawdziwie młodzieżową - dla amatorów, a jednak...

Dla wielu występ na tej "otwartej scenie" stał się formą snobistycznego popisu przed przyjaciółmi tworzącymi publiczność. Mimo całej "otwartości" zarówno scenę jak i salę wypełnia ścisły krąg osób, do którego trudno jest wejść amatorowi "z zewnątrz". W dużej mierze są to młodzi ludzie ze środowiska harcerskiego oraz inni w jakieś sposób z nim związani. Owego faktu, mimo organizacyjnych starań, nie zmieniają goście z całego niemal kraju, bo oni również mieszczą się w tym "kręgu". Pewna próba otwarcia się na szersze kręgi amatorów-twórców można było najwyraźniej zauważyć we Wrocławiu - zwłaszcza na koniec programu, gdy zostaje już garstka najwytrwalszych widzów. A szkoda...

Publiczność usprawiedliwia taką opinię, ponieważ w czasie "spotkań znaczących" to ona powinna kształtować ich program i charakter (przynajmniej takie są założenia). A jacy są odbiorcy widac od pewnego czasu począwszy od Jarocina, Róbrge, poprzez pare innych zdarzeń tzw. kulturalnych, aż po wyżej opisane. Zanika w sposób zastraszający jakakolwiek inicjatywa - nazywałbym ją - oddolna. Dopóki bowiem uszło się po smak niezależności, nielegalności, ryzyka związanego z podstawionym gdzieś "ubolem" - wycofywało się jeszcze, jeśli nie przekaz godny artysty, indywidualności i pomysłowości, to przynajmniej perfekcję. Teraz, niestety, poddaliśmy się paskudnej i galopującej komercji i minimalizmowi. Poklask uzyskują z rzadka zdarzenia zabronione, "scigane" - reszta umiera.

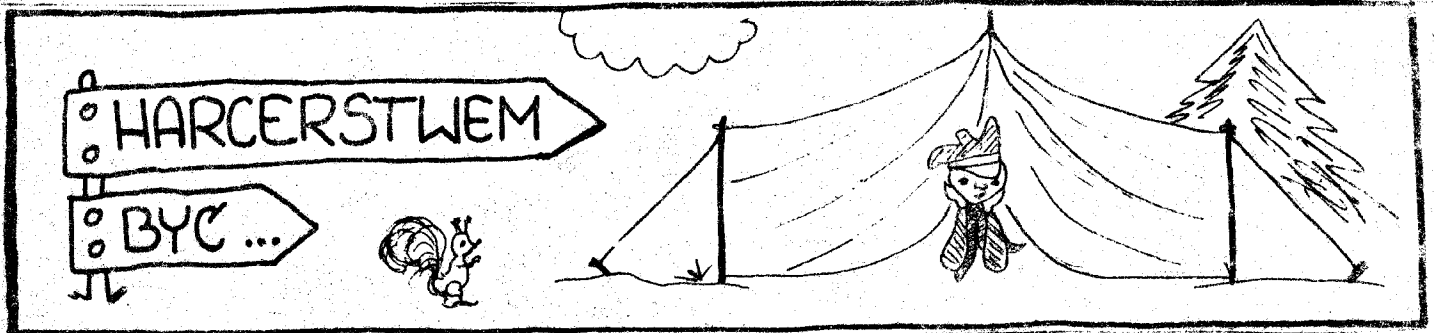
Odbiorcy oczekują rozrywki i kabaretu, oglądają występy tak jak się ogląda telewizję. Natomiast swo występowanie stało się modą, a aktorzy starają się spełnić oczekiwania publiczności, robią wszystko, "żeby było śmiesznie", nie rozumiejąc często własnych tekstów. Tak jak to uczyniono np. w Becketem w Gdańsku.

Och, napisało się bardzo smutnie i krzywdząco, choć nie miało się tu tak napisać. Na podziwienie dedam, że zaistniały tu i ówdzie błyszczące gwiazdki w postaci Teatru Syntezy z Gdyni czy Grupy z Sobótki. Tym ostatnim z pewnością wypada jedynie pogratulować i życzyć jeszcze lepszych występów na przyszłość.

Trzeba by jakoś to zakończyć, no cóż...

Jim Morrison śpiewał kiedyś:

"Proszę, proszę słuchajcie mnie, dzieci
Proszę, proszę słuchajcie mnie dzieci
Proszę, proszę słuchajcie mnie dzieci,
Proszę, proszę słuchajcie mnie dzieci
To wy rządzącie tym światem..."



W ciągu ostatnich tygodni w radiu, prasie zarówno pierwszego jak i drugiego obiegu a nawet telewizji coraz częściej pojawiają się informacje dotyczące działającego poza ramami oficjalnego ZHP, niezależnego ruchu harcerskiego - przede wszystkim zaś istniejącego w obecnej postaci od niespełna trzech miesięcy Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Szczególnie wielkie zainteresowanie prasy różnych obłogów i orientacji politycznych wzbudził I Walny Zjazd Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, który odbył się w Sopotcie w pierwszych dniach kwietnia br. W Zjeździe tym wzięło udział ponad 400 instruktorów reprezentujących około 7-tysięczną rzeszę harcerek i harcerzy z całej Polski. Szukając źródeł tego spotkania, przy czym, dla których tak znaczna liczba instruktorów harcerskich z całego kraju zdecydowała się obecnie na stworzenie własnej organizacji, musimy cofnąć się niemal pół wieku wstecz w dziejach polskiego harcerstwa - do początków Polski Ludowej.

Jesienią 1944 roku działający na terenie Polski "lubelskiej" Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego podjął decyzję reaktywowania na nowych zasadach ideowych i nowych warunkach politycznych Związku Harcerstwa Polskiego: (ZHP zawiązany jako organizacja ogólnopolska w 1918 roku, działał nieprzerwanie do wybuchu II wojny światowej a następnie tajnie w konspiracji przez cały okres wojny.)

Bardzo zreczne z politycznego punktu widzenia posunięcie władz lubelskich postawiło w niezwykle trudnej sytuacji działających wówczas jeszcze w konspiracji instruktorów i drużyny Szarych Szeregów. Powołana prawem zwyczajowy do życia przez PKWN organizacja harcerska dawała, co prawda, możliwość legalnego działania drużyn, rościła sobie jednak jednocześnie prawo do kontynuowania tradycji organizacyjnych, przejmując symbolikę międzywojennego ZHP, nadając przy tym harcerskiemu wychowaniu nową oprawę ideową a powołanej organizacji harcerskiej jednocześnie polityczny charakter. Co charakterystyczne, w pierwszych miesiącach istnienia we władzach nowej organizacji nie znaleźli się członkowie naczelnych władz ZHP sprzed wojny, ani władz istniejących w konspiracji do stycznia 1945 Szarych Szeregów.

Po zakończeniu działań wojennych mimo szeregu wątpliwości znaczna grupa instruktorów szaroszeregowych z Aleksandrem Kamińskim na czele zdecydowała się - po rozwiązaniu Szarych Szeregów - na wejście do istniejącego ZHP i podjęcie próby przywrócenia mu charakteru jaki organizacja posiadała przed wojną. Nadzieje na realizację takiej metamorfozy zdawały się umocnić obietnice składane wobec mocarstw zachodnich na wolne wybory do Sejmu, pozwalające wierzyć w postępowanie procesu demokratyzacji kraju.

W rezultacie decyzji podjętych w pierwszych miesiącach po wojnie w harcerstwie w Kraju wytworzyła się sytuacja, która w niezmiernie w zasadzie formie przetrwała do lat 80-tych.

Istnieje oficjalny, związany politycznie i ideowo z rządzoną w Polsce partią Związek Harcerstwa Polskiego, w ramach którego działają instruktorzy i środowiska harcerskie kultuwające tradycyjne ideały i formy pracy harcerskiej. Te harcerskie "oazy" w ZHP miały w różnych okresach różny zasięg. Do roku 1949 czas bezpośrednio po październiku '56 sięgały nawet do wybranych wysokich stanowisk we władzach naczelnych ZHP. W latach stalinowskich zlikwidowano je właściwie całkowicie. Od roku 1960 do końca lat 70-tych wegetowały w postaci wyszczuplonych środowisk na terenie wielomilionowego Związku.

To funkcjonowanie niejako wbrew ZHP i na jego marginesie pozwalało przez wszystkie te lata na prowadzenie z młodzieżą legalnej pracy metodą harcerską, ale wiązało się również, szczególnie po roku 1956, z szeregiem ogromnych kompromisów w kwestiach ideowych. Z dobrociwym napisaniem się do organizacji jednocześnie politycznej, której dokumentów i deklaracji ideowych nie akceptowała zarówno znaczna część instruktorów jak i rodziców harcerzy (przypomnijmy tylko, że harcerze przyrzekli - czy powinni przyrzekać - "być wiernym sprawie socjalizmu",

strukturzy, iż "pragną jak najlepiej służyć sprawie socjalizmu" a w Statucie ZHP stwierdzono wprost uznawanie przez ZHP przewodniej roli PZPR, "wyrażającej się wobec organizacji w inspiracji ideowej").

Do lat 80-tych wobec praktycznej niemożności powołania odrębnej od ZHP organizacji harcerskiej pytanie "czy jest rzeczą dopuszczalną z moralnego punktu widzenia wciąganie młodzieży do organizacji, której założen ideowych i programu nie akceptują i nie zamierzam realizować?" odsuwane było powszechnie w środowiskach instruktorów na plan dalszy. Dopiero powstanie "Solidarności" i innych autentycznych, niekontrolowanych przez władze stowarzyszeń i instytucji społecznych uświadomiło wielu instruktorom nieprawidłowość istniejącego od wojny stanu rzeczy i potrzeba społecznego uwiarygodnienia harcerstwa.

Andrzej Pomian

Od ZHP do ZHR

W latach 80-tych widziano możliwość zrealizowania tego postulatu na dwa sposoby: przez "odyskowanie" istniejącego ZHP lub zbudowanie harcerskiej organizacji od nowa - obok ZHP.

Decyzja powołania nowej organizacji nie była łatwa. Ogromna większość instruktorów nawiazując do półjawnych czy nieformalnych działań wewnątrz ZHP z ostatniego półwiecza dałya przez rozwój środowisk, kształcenie kadry instruktorów, popularyzację idei wychowania harcerskiego w społeczeństwie do rozszerzenia harcerskiej "oazy" na cały ZHP. Do przekształcenia istniejącej organizacji używającej nazwy "Związek Harcerstwa Polskiego" w organizację harcerską. Tę drogę obrało istniejące od roku 80-tego Porozumienie Kręgów Instruktorów Harcerskich im. A. Maikowskiego, którego członkowie w warunkach po 13 grudnia 1981 roku utworzyli półjawną organizację wewnątrz ZHP - Ruch Harcerski Rzeczypospolitej.

Do początków 1989 roku na podjęcie starań prowadzących do stworzenia nowej organizacji decydowały się stosunkowo nieliczne w skali kraju środowiska instruktorów. W 1981 roku powołany został Niezależny Ruch Harcerski, który do faktycznej likwidacji po 13 grudnia obejmuje tylko środowiska z terenu Lubelszczyzny i kilka drużyn warszawskich. Od połowy lat 80-tych rodzą się w różnych punktach Polski lokalne inicjatywy i organizacje harcerskie (wspomnień należy z pewnością o środowisku "Promienistych" z Lublina, drużynach z Trzebini, Stalowej Vally, Polskiej Organizacji Harcerskiej, działających od 1985 roku Porozumieniu Niezależnych Środowisk i Organizacji Harcerskich, Polskim Bractwie Szautowym oraz Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej - organizacji, która skupiła kilkadziesiąt niezależnych drużyn z Pomorza).

Taka sytuacja trwała praktycznie do 12 lutego br. Tego dnia w Warszawie odbyło się inicjatywne środowiska krakowskiego spotkanie instruktorów z terenu całej Polski. Na spotkaniu uznano, że w obecnej sytuacji dalsze próby spanowania istniejących struktur ZHP skazano na niepowodzenie i konieczne jest stworzenie nowej, samodzielnej organizacji harcerskiej, która umożliwi jednoczenie wszystkich istnie-

jących autentycznych środowisk i organizacji harcerskich. Dla odróżnienia od ZHP postanowiono przyjąć nazwę Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej (nazwa używana dotychczas przez lokalną organizację z terenu Wybrzeża, która podobnie jak większość pozostałych organizacji niezależnych została w momencie powołania "dużego" ZHR rozwiązana). Zebrani instruktorzy wydali komunikat o woli powołania ZHR oraz powołali Komisję Organizacyjną przyszłego Związku.

Wydarzenia kolejnych dwóch miesięcy były już tylko logiczną kontynuacją decyzji z 12 lutego. 25 lutego powołano do życia ZHR, rozpoczęto przyjmowanie członków, podjęto decyzję o zwołaniu w pierwszych dniach kwietnia 1989 roku I Walnego Zjazdu Związku.

Obiadujący w Sopocie w gościnnych murach Uniwersytetu Gdańskiego, w dniach 1-2 kwietnia 1989 roku I Zjazd ZHR zgromadził ponad 400 instruktorów z terenu całej niemal Polski. Uchwalono statut ZHR, wybrano władze naczelne Związku.

ZHR stał się faktem

Andrzej Pomian

Jak wspomniano wyżej utworzenie Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej wywołało wiele komentarzy, często nawet nieporozumień, związanych z brakiem rzetelnych informacji o nowej organizacji lub też odmiennym widzeniem dnia dzisiejszego i przyszłości harcerstwa. Warto więc chyba poświęcić nieco miejsca na próbę odpowiedzi na pytania:

Czym jest ZHR? Jaki jest stosunek nowej organizacji do 70-letnich tradycji polskiego harcerstwa, do innych istniejących organizacji harcerskich?

Odpowiedzi na te i inne pytania szukaliśmy w publikacjach informacyjnych ZHR i wypowiedziach członków obecnych jego władz.

Dlaczego powstał ZHR?

O podstawowej przyczynie powstania ZHR - potrzebie powołania jednoznacznej harcerskiej organizacji ideowo-wychowawczej pisano już powyżej. Rozwijając ten temat warto może przypomnieć fragment wypowiedzi dh. Wojciecha Wróblewskiego, który 16.11. br. w trakcie obrad stołika "młodzieżowego" Okrągłego Stołu tak wyjaśniał przyczyny powołania Związku:

"Sztuczne i prymitywne upolitycznianie w minionych latach organizacja (ZHP - przyp. A.P.), w której świeckość statutowym zapisem zinterpretowano jako laickość dziś jest w rzeczywistości organizacją bezideową. Natomiast praktyka jej działania, z którą często stykają się dzieci i młodzież, jest pijaństwo pseudoinstruktorów na obozach, w harcerskich kolumnach, ogromne marnotrawstwo środków finansowych i sprzętu, wykorzystywanie pełnionych funkcji dla zdobywania nadzwyczajnych profitów lub jako odskoczni dla kariery politycznej. (...)

Dnia 12 lutego br. w Warszawie przedstawiciele i sympatycy wszystkich niezależnych organizacji i ruchów harcerskich działających w ZHP jak i poza Związkiem podjęli decyzję o wspólnym podjęciu starań w kierunku powołania własnej organizacji harcerskiej - Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej

Realizacja tego postulatu likwidowałaby stan dwiowości wychowawczej, jaki ma miejsce aktualnie w ZHP oraz eliminowałaby istniejące w ZHP konflikty, wynikające ze stanu permanentnej opozycji części młodzieży i wychowawców. Dawałoby to możliwość przesunięcia aktywności tych środowisk z wymuszonych przez sytuację działań o charakterze negacji i sprzeciwu oraz demonstracji podkreślających tożsamość ideową na drogę działań konstruktywnych w ramach własnej, legalnej organizacji. Takie rozwiązanie wyszłoby na przeciw postulatowi podnoszonemu przez rodziców i liczące się kręgi społeczne oraz Kościół, na który jak do tej pory spada cały ciężar opieki na coraz liczniejszymi grupami młodzieży nieznajdującej dla siebie miejsca w istniejących obecnie oficjalnych organizacjach młodzieżowych."

A oto wybór różnych wypowiedzi na temat ZHR:

Phm. Marek Gajdziński, fragmenty artykułu z pisma "Czuwamy" nr 8.

(...) ZHR nie będzie związany z żadnym ugrupowaniem i programem politycznym, nie wiąże wychowania z żadną określoną doktryną polityczną. ZHR nie będzie wymagać od dzieci i młodzieży składania deklaracji politycznych, takich jak przyrzeczenie wierności "sprawie socjalizmu". Nie będzie zastępować wychowania indoktrynacją. Będzie natomiast ukazywać całe bogactwo i różnorodność programów politycznych, tworząc warunki dla dokonania wolnego i świadomego wyboru w momencie osiągnięcia dojrzałości społecznej. ZHR deklaruje się jako organizacja apolityczna, nieobojętna jednak wobec aktualnych zjawisk politycznych i społecznych.

ZHR będzie opierał swoją pracę wychowawczą na zasadach etyki chrześcijańskiej i kierować się wska-

zaniami płynącymi z nauki społecznej Kościoła.

ZHR będzie starannie przestrzegać tolerancji religijnej. Oznacza to, że będzie w nim miejsce dla ludzi wszystkich wyznań i religii oraz dla poszukujących, niewierzących i ateistów. Organizacja nie będzie utrudniać ani zabraniać indywidualnego bądź zbiorowego odbywania praktyk religijnych tym spośród swoich harcerzy dla których sprawy wiary mają znaczenie podstawowe. Uznając ogromną rolę religijności w wychowaniu człowieka, ZHR będzie stwarzać warunki do tego, aby ci, którzy tego pragną, mogli w szeregach harcerskich umacniać i pogłębiać swoją wiarę. W tym celu ZHR będzie współpracować z działającym od kilku lat Krajowym Duszpasterstwem Harcerek i Harcerzy powołanym przez Episkopat Polski. (...)

ZHR przywraca ignorowaną w partyjnym harcerstwie zasadę wychowania przez przykład osobisty instruktora, stąd największe wymagania będą stawiane kadry instruktorskiej. Dotyczy to nie tylko ścisłego przestrzegania abstynencji alkoholowej i nikotynowej, ale także nienagannej postawy we wszystkich innych sferach moralno-etycznych ujętych w sformułowaniu Prawa Harcerskiego.

ZHR w swojej działalności wychowawczej będzie stosować sprawdzoną metodą skautową, wzbogaconą o dorobek polskiego harcerstwa. Program związku będzie stale dostosowywany do aktualnych potrzeb społecznych oraz dążeń i aspiracji młodzieży. (...)

ZHR swoją działalność opierać będzie całkowicie na społecznej pracy swoich członków. Wynika to bezpośrednio z właściwego pojęcia służby harcerskiej, a pośrednio ma uchronić związek przed ewentualnością powstania identycznego jak w ZHP płatnego aparatu biurokratycznego, z samej swojej natury zachowawczego, blokującego wszelkie inicjatywy płynące z "dołu", a skrupulatnie wypełniającego wyłącznie polecenia płynące z góry. (...)

ZHR nawiązuje do tradycji harcerstwa polskiego, które od zarania swego istnienia tj. 1911 roku stało w pierwszej linii walki o wolną i demokratyczną Polskę, o zachowanie kultury narodowej, właściwego poziomu moralno-etycznego wkraczających w dorosłe życie coraz to nowych pokoleń młodzieży polskiej.

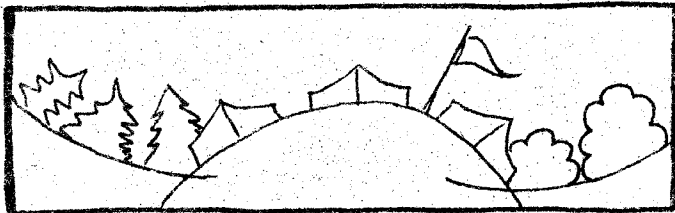
"Dlaczego ZHR" - fragmenty artykułu z harcerskiego pisma z Kraśnika

"Przed wszystkim dlatego, że takie są moje odczucia. Mam głęboko zakorzenione przekonanie, że podejmowanie działań zgodnych z głoszonymi przeze mnie ideałami jest mi absolutnie niezbędne do dokonywania tak prozaicznej czynności, jak poranne czesanie się w lustrze. Chciałbym poprostu by jak najdłużej było mnie stać na ten luksus patrzenia sobie w twarz nie tylko bez obrzydzenia, ale i równie zgrabnej bezna-dziejnej obojętności. (...)

Dlaczego poza ZHP? Dlatego, że obce jest, nam to, co ten związek obecnie sobą reprezentuje. Nie chcemy być w organizacji głoszącej obc nam ideały. Nie jesteśmy tłumem, któremu jest wszystko jedno co czynia jego przywódcy, w jaki sposób z nim postępują, byle tylko pozwalali się bawić. W pracy naszej zawsze staliśmy się wystrzegać bezideowości i popadania w za-



bawowo-relaksowy blogostan. Czujemy się odpowiedzialni za to co głosimy, czujemy się odpowiedzialni za nasze otoczenie. Aby jednak odpowiedzialność mogła znaleźć swój wymiar społeczny, musi być przynajmniej



minimalna sfera wolności, która umożliwi nam działania. Działanie takie, które sami uznamy za słuszną, a nie takie, które narzucać nam będzie zetatyzowana i biurokratyzowana organizacja. By to działanie było możliwe konieczny jest powrót do cywilizowanego myślenia, także o sprawach harcerstwa. Jak w całym życiu społecznym tak i tu początkiem rozmowy ludzi odpowiedzialnych musi być poszanowanie przekonania drugiego człowieka i jego wolności. Stąd miernikiem intencji rozmówców jest uznanie wolności drugiej strony, także wolności zrzeszania się z podobnie myślącymi i wolności wybierania takiej reprezentacji jaką uznają za słuszną."

Rozmowa z druhem **Stanisławem Broniewskim "Orsza"**, byłym Naczelnikiem Szarych Szeregów, obecnie członkiem Rady Naczelnej ZHR ("Ognisko", miesięcznik ZHR Pomorze, nr 1/77, marzec 1989).

" - Druhu Naczelniku, 25 lutego br. w wywiadzie dla programu III PR na zarzut dziennikarza, że zmienił Druh poglądy (...) dotyczące trwania w ZHP, odpowiedział Druh: "To nie ja zmieniłem zdanie, ale zmieniła się sytuacja".

" (...) Wydawało się i wydaje się jak na tamten czas słusznie, że trzeba było pozostać, być, trwać w ZHP. Po prostu ZHP była to jedyna właściwie możliwa praca metoda harcerską, praca która pozwalała nawet nieraz wykonywać te elementy, których metoda harcerska się domaga, nie mówiąc już o sprawie munduru, sprawie całego naszego zespołu elementów wychowawczych, których w harcerstwie używamy. To było w ZHP możliwe. Na bazie tego powstawała myśl, że przecież to ZHP jest nasze, że to my jesteśmy właścicielami, kto inny tu wszedł, zaczął się rozpychać i wnosić tutaj rzeczy nam obce, obce idei ruchu harcerskiego. Natomiast potem przyszła sprawa, która wywołała, wydobyla jakby na wierzch wszystkie myśli, cały czas sązące się obok tego co streszciałem. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jednak następuje kolizja, taka w cudzysłowie powiem "półkonispiracja", co innego się mówi a wiele innych rzeczy się myśli, wierzy się w nie i do nich dąży. Ta sytuacja mogła na dłuższą metę zrobić szkoda. W związku z tym była chęć coraz ostrzejszego pokazywania swojej prawdy, już nie kryłcia się z tym, że się mówi i składa inne Przyrzeczenie niż statut ZHP wymagał itd. Była potrzeba, aby strząsnąć z młodzieży to jakieś zakłamanie, żeby ta młodzież nie wiedząc, nie mając porównania tego co kiedyś było z tym co jest dzisiaj, nie sądziła że tak jest zawsze, że żyje się w takiej "półprawdzie".

Otóż gdy powstała możliwość pozbycia się tej półprawdy i powiedzenia wszystkiego pełnym głosem, pełną pierśią, wtedy nie miałem wątpliwości, że to trzeba podchwycić. Z tym, że chciałbym tutaj bardzo mocno podkreślić jedną sprawę, mianowicie tutaj nie było narzucone młodzieży. Nie było nic zasugerowane. Było to wielkie wyłączenie słuchu, żeby się wozuć w to co młodzież myśli. Dla mnie było wielką radością stwierdzenie, że młodzież tego chce, że ma dosyć tej półprawdy, że zdrowo się uchowała przez ten czas, ale że tego co było kontynuować nie można. Wobec tego ja nie chcę w tym momencie zrzucić z siebie odpowiedzialności, bo tłumaczyłem jak szła moja myśl i z jaką radością tę obserwację podjąłem. Chcę wyraźnie podkreślić, że w tym jest bardzo zaangażowana młodzież i za nią trzeba być iść."

Rozmowa z dh. **Tomaszem Strzeboszem**, znanym historykiem, obecnie Przewodniczącym ZHR ("Ognisko" nr 1, marzec 1989)

"P.W.: - Druhu, jakie dzisiaj najważniejsze problemy stoją przed kolejnym raz "odnawiającym" się Harcerstwem?

T.S.: - Problem wewnętrzny - znalezienia wspólnego rozumienia harcerstwa, samookreślenia ideowego, nowych wartości o charakterze ideowym i światopoglądowym. Chciałbym jedną rzecz podkreślić, dla mnie absolutnie podważalna, niezbywalna; zarówno skauting, jak potem Harcerstwo Polskie oparło się na chrześcijańskiej koncepcji bliźniego, nie tylko zawartej w Prawie i Przyrzeczeniu, ale była ona jakgdyby ziemią, z której narodziło się harcerstwo. Bez niej, i to mówię

absolutnie jasno i otwarcie, harcerstwo przestaje być HARCEKSTWEM. Może nim być bez mundurów, krzyży, listów, bez jakichkolwiek odznak, ognisk i wycieczek. Natomiast harcerstwo, które nie rodzi się z tej koncepcji przestaje być Harcerstwem Polakim i nie ma prawa uważać się za odmianę, czy kontynuację skautingu światowego.

Dotyczy to każdego uczestnika ruchu i dotyczy to harcerstwa jako całości. Jeśli pod tym względem ZHR te jakości uzyska to zwycięży. Co do tego mam absolutną pewność. Zwycięży, choćby nawet ponosił jakiegś zewnętrzne porażki. Jeśli tak się nie stanie, to wszystkie sukcesy zewnętrzne przestaną mieć sens.

Dlaczego kładę taki nacisk na koncepcję bliźniego? Na etykę chrześcijańską? Po pierwsze - jest ona związana z harcerstwem w sposób absolutny od początku. Po drugie - ta etyka jest zbiorem norm, do których odnosi się większość obywateli Polski, niezależnie od tego, czy ją realizuje czy też nie.

Problem drugi to kwestia zdolności organizacyjnych i stworzenia - modne obecnie słowo - consensusu wychowawczego między rodzicami a Harcerstwem. Powstania sytuacji, która przez długie lata nie funkcjonowała (...)

Niezależne harcerstwo, w naszym przypadku Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, jest dla rodziców podwójną szansą. Po pierwsze - chroni od lęku, że nasza młodzież wychowywać będą ludzie, choćby tacy jak Pękala i Chmielewski - dwaj funkcjonariusze SB i jednocześnie instruktorzy harcerscy. Ludzie, z którymi

Od ZHP do ZHR

DOKOŃCZENIE ZE STR. 10 i 11

wielu rodziców po prostu nie chciałoby mieć nie wspólnego, a którzy bez wiedzy o tym rodziców, w większym czy mniejszym stopniu, w takim czy innym sensie uczestniczyli w procesie wychowania.

Drugą szansą jest sytuacja, w której i rodzice, i organizacja harcerska będą szli tą samą drogą. Będą wychowywali w tym samym, jednakowym kierunku."

Marek Stępa "Sposób" (odpowiedź na ankietę "Cele i perspektywy ZHR" przeprowadzoną przez redakcję "Czuwajmy", pisma Krajowego Duszpasterstwa Harcerek i Harcerzy)

"Harcerstwo to sposób na skuteczne rozwijanie tych wszystkich pozytywnych cech, które tkwią w ludziach. Polce, zwłaszcza w obecnym czasie, potrzeba ludzi z mocnym charakterem i silnym kośćcem moralnym: ludzi zdolnych i chętnych do służby publicznej. Wierząc, że szkoła takiej wiernej i efektywnej służby jest Harcerstwo uznaliśmy iż istnieje pilna już potrzeba stworzenia organizacji, w której metoda ta mogłaby być wdrażana nareszcie w sposób uczciwy i pełny. Wiele osób słabo zorientowanych w realiach pyta dlaczego nie można próbować robić tego w ramach już istniejącego Związku Harcerstwa Polskiego. Podobnie jak wielu moich przyjaciół - współzałożycieli ZHR - ostatnie kilkanaście lat mego życia strawiłem na takich próbach i wiem, że w najlepszym przypadku prowadzi to do rozdwojenia jaźni. Trzeba być wiernym ideałom i metodom harcerskim w otoczeniu swych wychowawców a lojalnym funkcjonariuszem biurokratyzowanej organizacji wbudowanej w państwowy system oświatowy w otoczeniu zwierzchników. Takie rozdwojenie jaźni było udziałem większości z nas, którzy próbowaliśmy przez wiele lat godzić wychowanie w zgodzie własnym sumieniem z wymogami wynikającymi z przynależności do obcej ideowo organizacyjnej. Nie chodzi tu o zrzeczą o komfort grupy instruktorów. Istnienie opisanej wyżej dwiowości docierało również do świadomości młodzieży a nad wychowawcą szkodliwość tego faktu nie warto się chyba rozwodzić.

Dzisiaj kiedy przeżywamy okres ponownego upodmiotowienia się polskiego społeczeństwa, kiedy zaczną

odrywają nadzieje na to, iż każdy będzie mógł mówić własnym głosem nie możemy nie upomnieć się o swoją tożsamość my - instruktorzy harcerscy czytelnicy umiłowania tradycji naszego ruchu, uznający chrześcijański system wartości i pragnący, najlepiej jak umiemy, służyć Polsce. Wiemy, że wciąż jeszcze rodzą się i dorastają ludzie, którym potrzebna jest właśnie taka organizacja: chrześcijańska i patriotyczna z ducha, w życiu codziennym bliska sprawom ludzi i otaczających ich przyrodzie, w metodzie działania opierająca się na zasadach związku przyjacielskiego. Dlatego trzeba było powołać Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej aby już bez narażania się na szkodliwy wychowawczy dualizm realizować opisaną wyżej wizję organizacji harcerskiej. Nie wątpimy iż o takiej organizacji marzyli Małkowscy, Grodynski, Strumiłło i inni wielcy Druhowie. Przyczołżyłem tych kilka nazwisk, by krótko odpowiedzieć na pytanie o perspektywy. Na początku nie będzie nam łatwo, ale Oni, 80 lat temu zaczęli w warunkach daleko trudniejszych a dzieło ich trwa do dziś. Wierzę, że nie będziemy gorsi i to my właśnie przeniesiemy harcerskie idee w XXI wiek."

Powstanie Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej spotkało się z bardzo żywą i zyciową reakcją wielu środowisk w Kraju i nawet za granicą. Jako ilustrację przytaczamy kilka listów do I Zjazdu ZHR i uchwał różnych środowisk.

* * *

List od działającego na emigracji Związku Harcerstwa Polskiego:

London, 28. III. 1989r.

Drogi Druhny, Drodzy Druhowie!

Z radością przyjęliśmy Wasze oświadczenie z dn. 12 lutego 1989r o utworzeniu nowej organizacji harcerskiej - Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Jest to konkretny dowód zjednoczenia się wszystkich istniejących, niezależnych grup harcerskich w Kraju, które prowadzą autentyczną pracę wychowawczą w duchu tradycyjnych zasad polskiego harcerstwa i skautingu światowego.

Związek Harcerstwa Polskiego działający na emigracji, nieprzerwanie prowadzi swoją pracę od okresu Drugiej Wojny Światowej. Łączą nas ideały zawarte w tradycyjnym Przyrzeczeniu i Prawie Harcerskim oraz troska o wychowanie młodych pokoleń dla wolnej i niepodległej Polski.

Przesyłamy Wam najserdeczniejsze życzenia pomyślnych obrad. Mamy nadzieję, że kontakty już nawiązane będą rozwijały się w dalszym wspólnym działaniu.

Czuwaj!

(-) Kazimierz Stepan, hm. (-) Stanisław Berkiet, hm.
Sekretarz Generalny ZHP Przewodniczący ZHP

List od dh. Ryszarda Kaczorowskiego, byłego Przewodniczącego ZHP, obecnie Ministra ds. Kraju w Rządzie RP za Uchodźstwem.

Druhny i Druhowie,

z dumą i radością obserwowaliśmy Wasze zmagania o zachowanie Przyrzeczenia i Prawa Harcerskiego. Na Wasz pierwszy Zjazd przesyłam serdeczne życzenia, by w służbie Bogu i Polsce nie zabrakło Wam sił i poświęcenia; byście dalej pisali historię naszego Związku z tym samym umiłowaniem ideałów, jak czyniły to pokolenia, które przed Wami dochowały wierności naszym symbolom.

Czuwaj

Ryszard Kaczorowski, hm.

* * *

Drodzy Delegaci!

Prawem rodziców jest wychowywać swoje dzieci zgodnie z własnym sumieniem i własnymi przekonaniami. Stowarzyszenia i organizacje wychowawcze mogą im jedynie w tym zadaniu pomagać. Dlatego ciężko mi nie pozostać Waszej organizacji, gdyż wierzę, że wielu rodziców znajdzie w niej takiego właśnie sprzymierzeńca i pomocnika. Wychowujcie swoich członków na przykładnych ludzi i dobrych Polaków. Przed Wami trudne zadania, których nikt nie rozwiąże za Was.

Walczyliśmy o pluralizm dla wszystkich, a więc także i dla Was. Dlatego wykorzystajcie szanse, które otworzyły się w wyniku negocjacji "okrągłego stołu". Moim zdaniem było wywalczyć możliwość działania, Waszym jest nie zmarnować mojego trudu. Działajcie tak, by udowodnić swą przydatność w pluralistycznym społeczeństwie. Spełniajcie własne marzenia i pokładane w Was nadzieje!

Życzę owocnych obrad i zapewniam, że zawsze możecie liczyć na naszą przychylność i zyciliwość Związku, który reprezentuję.

Lech Wałęsa

(...) praktyczna realizacja zasady wolnego nieskrepowanego stowarzyszenia stała się warunkiem demokratycznego ładu społecznego, w przysiężności także - gospodarczej przewalencji Polski. Jest to warunek stworzenia środowisk wychowawczych sprzyjających kształtowaniu /i samokształceniu uczestników społeczeństwa obywatelskiego.

Konieczne jest zatem zniesienie ograniczeń i wszelkich monopolu w funkcjonowaniu stowarzyszeń i w tworzeniu nowych organizacji i stowarzyszeń młodzieży.

Wszystkie one powinny mieć możliwość zaprowadzenia, publikacji, określania swoich metod pracy i atrybutów zewnętrznych identyfikujących te organizacje w ich otoczeniu.

Sądziwy, że harcerstwo znajdzie odpowiednią potrzebom wychowania ku podmiotowym wartościom formy organizacyjne w warunkach kształtowania nowego ładu społecznego.

(z ustaleń zespołu ds. młodzieży "okrągłego stołu")

* * *

Drodzy Przyjaciele!

Wasz Zjazd jest dowodem, że harcerstwo przetrwało - mimo wszystkich prób zakwaszczenia jego tradycji i zafalszowania jego tożsamości. Życzę Wam, by Wasz Związek Harcerstwa, noszący od dziś dumne imię Harcerstwa Rzeczypospolitej, kontynuował dzieło bohaterów "Kamień na szaniec" i autora tej niezwykłej książki; ludzi, którzy chcieli pracować dla Polski i szczytowali się do takich ról, umieli ginąć dla niej, kiedy było trzeba; jak sam Aleksander Kamiński, w każdej sytuacji potrafili służyć Rzeczypospolitej wedle swych najlepszych sił i nigdy o niej nie wątpili. Miejmy nadzieję, że idą lata dobrych ludzi, czas Rzeczypospolitej wolnej od gwałtu, wściekłości i nienawiści, czas dla ideałów, które zdołaliście przechować.

Czuwajcie, Druhowie, nad nimi i nad przyszłą Rzeczypospolitą, która jest w Waszych rękach
Sopot, 31 marca 1989 r. Stefan Bratkowski

* * *

Krajowy Zjazd "Solidarności" Rolników Indywidualnych wyraża swoje zdecydowane poparcie dla idei utworzenia ZHR. Domagamy się prawa do utworzenia legalności, niezależnej od władz partyjno-rządowych organizacji harcerskiej, która mogłaby wychowywać nasze dzieci w duchu etyki chrześcijańskiej. (...)

Warszawa dnia 19.03.1989r.

* * *

Apel Harcerzy Szarych Szeregów

12 lutego br. narodziła się decyzja powołania do życia Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej! Po latach antychowawczej, indoktrynacyjnej działalności ZHP, zaistniała nadzieja, że harcerstwo wróci do swych dawnych ideałów wychowawczych, które jakże wieloletnie zdały egzamin na polu walki o niepodległość Polski w dwóch wojnach światowych oraz w krótkim, 20-letnim okresie suwerennego bytu państwowego.

Harcerze Szarych Szeregów zwracają się do rodziców, wychowawców i nauczycieli, ludzi wyrosłych w tradycji harcerskiej - do całego społeczeństwa - o poparcie nowopowstałego ZHR i oteczenie go pełną zyciliwością i wszechstronną pomocą. Nikomu nie może być obojętne w jakim duchu i z jakim skutkiem wychowywana jest polska młodzież. Od społeczeństwa w decydującym stopniu zależy jaka postawa wykaże się jej kolejne pokolenie.

Harcerze i instruktorzy, skupieni w Środowiskowej Komisji Szarych Szeregów w Warszawie, zwracają się do kolegów harcerzy-żołnierzy z oserdków na terenie Kraju o tworzenie kręgów przyjaciół ZHR, które przyczyniały się do odbudowy tradycyjnych Kół Przyjaciół Harcerstwa.

Podpisali m.in. dh Stanisław Broniewski-Oreza, Józef Piątkowski, Jan Seredyński

* * *

(...) 1. Uważamy, że ZHR jest autentycznym ruchem harcerskim, mającym pełne prawo do legalnego działania.

2. Odmowa prawa do legalnego działania jest próbą utrzymania monopolu wychowania przez władzę i jest niedopuszczalną próbą ingerencji w prawo rodziców do wychowania swych dzieci zgodnie ze swymi ideałami i światopoglądem.

3. Deklarujemy pełne poparcie i gotowość współpracy z ZHR i wzywamy Komisje Organizacyjne NSZZ "S" w zakładach pracy i szkołach do współpracy z drużynami ZHR i udzielania im pomocy.

4.04.1989 r. RKW NSZZ "S" Region Mazowiec

PRZYLOT

Kiedy samolot British Airways dociera nad Londyn, jest już ciemno i student widzi z okna rozciągające się po horyzont morze światła. Daje mu ono pewne pojęcie o ogromie miasta, w którym się wkrótce znajdzie. "Zachód, panie! Tu się dopiero żyje!" - entuzjasmuje się siedzący obok jegomości w średnim wieku, który pierwszy raz, na zaproszenie rodziny, leci do Anglii. Jego entuzjazm tylko na chwilę ustąpi miejsca przerażeniu, kiedy samolot zacznie podchodzić do lądowania. Wtedy student znów zostanie sam na sam ze swoimi myślami i z uczuciem uciśku w okolicy żołądka, wywołanym widokiem miliona światła metropolii. Nowy, wspaniały świat budzi w nim bowiem w tej chwili więcej niepokoju i obaw niż radoznego oczekiwania - dokładnie na odwrót niż parę tygodni temu, kiedy po wszystkich kłopotach z zaproszeniem, paszportem, po upokarzającym przesłuchaniu w brytyjskim konsulacie, wyjazd stał się wreszcie rzeczą pewną. Jak przyjemnie było wtedy w rozmowie z przyjaciółmi (przyjaciółkami!) rzucić od niechcenia "Jadę do Londynu... no, nie wiem - jakies parę miesiocy". Teraz uleciała gdzieś nonszalancja podeżyta zarozumiałością, pozostał niepokój...

Po lądowaniu długi marez pustymi, jasno oświetlonymi korytarzami lotniska Heathrow, wychodzącymi na dużą, sterylnie czystą salę, w której odbywa się odprawa wizowa. Osobne stanowiska dla obywateli Zjednoczonego Królestwa, mieszkańców państw EWG oraz "innych" - nie mieszczących się w tamtych kategoriach i przeto zmuszonych do czekania w tasemcowatej kolejce aż urzędnik brytyjskiego Home Office (czyli tamtejszego MSW) łaskawie wetawi im wizę do paszportu. Czekając na swoją kolej, student nieco się niepokozi: jeśli jego odpowiedzi nie spodoba się urzędnikowi, może nie dostać wizy i być odesłany z powrotem do kraju. To jakby utonął metr od brzegu - okropność. Na szczęście zdarza się to bardzo rzadko. Z sześciomiesięczną wizą w paszporcie, student przechodzi obok barierki i teraz już naprawdę znajduje się w Zjednoczonym Królestwie.

MIESZKANIE

Podróżny z Polski - nazwaliemy go studentem - przybył do Anglii na zaproszenie obywatela brytyjskiego, który zobowiązał się pokryć wszelkie koszty pobytu. W ogromnej większości przypadków - zwłaszcza jeśli ów pobyt ma potrwać kilka miesięcy - zobowiązanie takie to czysta fikcja. Nawet jeżeli podróżny przybył na zaproszenie rodziny bądź bliskich przyjaciół, nie zatrzyma się u nich dłużej niż kilka dni. Pierwszym problemem jaki staje przed przybyłym z Polski jest tedy znalezienie mieszkania.

Aby znaleźć mieszkanie, student udaje się do POSK-u, tj. Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. To szacowna, założona przez przedstawicieli powojennej emigracji instytucja, ogromnej większości przybywców z peerelu kojarzy się z dwiema sprawami o podstawowym dla nich znaczeniu, to znaczy - z mieszkaniami i z pracą, a to dzięki ogromnej tablicy w holu, na której ogłaszają się ludzie z pokojami do wynajęcia, tudzież poszukujący pracowników (o czym później). Co prawda w Londynie ogłoszeń o mieszkaniach czy pokojach do wynajęcia jest smółstwo na każdym kroku, ale są to na ogół imprezy dość drogie i wynajęcie ich wiąże się z podpisaniem długoterminowego kontraktu, określającego prawa i obowiązki obydwu stron. Przybywszy z Polski udaje się więc raczej do POSK-u, bo tam znajdzie oferty pokoi tańszych i wynajmowanych bez zbędnych (dla niego) ceregieli. Jak nietrudno zgadnąć, ogłaszający się w POSK-u "policynisi" nie robią tego z miłości do rodaków z kraju. Mieszkania przez nich oferowane są wprawdzie na ogół tanże, ale za to nieludzką przeludnione i, mówiąc delikatnie, wątpliwej czystości. Często są to tzw. council flats - coś w rodzaju mieszkań kwaterekowych, przydzielanych przez radę miejską osobom, których - rzekomo bądź naprawdę - nie stać na kupno lub wynajęcie własnego mieszkania. Mieszkanie takie może dostać np. rozwiedziona matka z dzieckiem. Zdarza się, że małżonstwo rozwodzi się tylko po to, żeby dostać drugie mieszkanie, po czym - mieszkając dalej razem - wynajmuje je, co przynosi ładnych parę funtów dochodu ekstra. Jest to, rzecz jasna, proceder sprzeczny z prawem, w związku z czym mieszkanie takie - na ogół zapuszczone i wyposażone w parę rozwalających się sprzętów nabytych z drugiej ręki - wynajmuje się np. przyjeźdnym z Polski, także z takiej transakcji zadowolonym, bo pozwala im ona zaoszczędzić kilka cennych funtów tygodniowo.

Trudno opisać atmosferę panującą w takich "polskich domach". W trzech, czterech pokojach stłoczonych jest czasem dwanaście i więcej osób. Są to na ogół ludzie młodzi, ale poza tym towarzystwo jest

mieszanne: czasem w jednym pokoju mieszka student, młody lekarz i chłopak, który skończył kilka klas podstawówki. Trzeba jednak przyznać, że najśladziej reprezentowana grupa społeczna są studenci. Jedyną rzeczą, która łączy wszystkich bez wyjątku są pieniądze. One też stanowią temat na długie, nocne rodaków rozmowy (w dzień rodacy albo pracują, albo szukają pracy, bo ich właśnie wylali z poprzedniej).

Życie na niby - tak chyba najlepiej określić to, co dzieje się w tych londyńskich "polskich domach". Bez przerwy ktoś się wprowadza lub wyprowadza, wraca z pracy, kładzie się spać, śpi, gdy ktoś inny właśnie wstaje i wychodzi do pracy. Inni tymczasem oglądają na video filmy o Ninji, (mało kto na tyle zna angielski, żeby móc oglądać w oryginale "normalne" filmy). Obok w pokoju impreza - rozpija się "wódeczkę", którą ktoś właśnie przywiózł z Polski. Wódka w Anglii jest tak droga, że Polacy piją stosunkowo niewiele (!!!) - z wyjątkiem okazji kiedy ktoś przywiezie z kraju

LEMUEL

Widzenia nad jak to się robi

wolny od cła litr tego szlachetnego trunku. Co jakieś czas wybuchają awantury: znów ktoś nie posprzątał w łazience, nie pozmywał w kuchni, ktoś komuś wypił mleko czy zjadł serek na śniadanie.

Jednak największym chyba utrapieniem są landladies czyli właścicielki, rzadziej (dlaczego?) właściciele, "polskich domów". Nie ma większego nieszczerstwa niż mieszkająca na miejscu landlady, ale i taka, która tylko wpada na inspekcję, może zaleść człowiekowi za skórę: nieustannie wazy czy aby ktoś nie mieszka "na waleta", nie zużywa za dużo prądu, nie porzuca jej ślicznych, kupionych za dwadzieścia pensów mebelków. Znika dopiero kiedy trzeba coś w mieszkaniu naprawić - np. zepsuta lodówka. Jest to jedyna zdarzenie, które może na jakiś czas uwolnić lokatorów od jej uciążliwych wisyt. Zjawia się jednak z regularnością komaty Halleya w dniu płacenia za czynsz, żeby nieubлагanie wyegzekwować co do pąsa, co jej się należy (lub nie należy). Student, który w paryskiej Kulturze przeczytał *List z Londynu*, w którym pan Garlicki opisuje jak angielska policja pomaga przyjeźdnym z Polski, na okazję zadumać się nad tym jak jedna i ta sama rzecz różnie wygląda w zależności od punktu widzenia.

Wielkoroze z tych "polskich domów" znane są chyba - choćby ze słyszenia - większości Polaków, którzy ostatnimi czasy mieszkali trochę w Londynie. Przez dom pani Krystyny musiało przebrać się dobrych parę setek przyjeźdnym z Polski, którzy zapoznali się z jej mężem-alkoholikiem, dwoma wielkimi psami, które wszędzie gubią sierść i opowieściami o tym jak jej dzieci śpią na podłodze, żeby mogła wynająć lokatora na jeden pokój więcej. Jeszcze bardziej malownicze są opowieści ludzi, którzy mieszkali "u Chłirczyka", (nb. Vietnamczyka). Razem ze swoją była żoną mieszkała on w domu, którego część wynajmuje Polakom. "Chłirczyk" jest homoseksualista i sprawdza sobie coraz to innych chłopców na noc, co jest przedmiotem nieustannych komentarzy ze strony współlokatorów. Dla odmiany, jego była żona wyszła za jednego z lokatorów - młodszego od niej o ładnych parę lat chłopaka z Polski, który tym sposobem otrzymał prawo stałego pobytu w Anglii. Jego małżonka potraktowała jednak ten związek o wiele poważniej i oświadczyła mu, że jeśli ją porzuci, ona wynajmie na Soho płatnych morderców, którzy go wszędzie znajdą. Mimo tych gróźb, chłopak w końcu uciekł, a zrozpaczona żona szukała go po wszystkich znanych sobie "polskich domach".

Tym, co może najbardziej wyciska na życie "polskich domów" owo piętno tymczasowości, bylejakości i życia na niby jest rzecz tak banalna jak kurs funta w stosunku do złotego. Fantastycznie wysoki przelicznik sprawia, że kupione na miejscu chleb, mleko czy przejazd metrem kosztują po kilka tysięcy złotych. Tak obliczone, nawet utrzymanie na minimalnym poziomie, wydatki przyprawiać mogą o zawrót głowy. Nic dalszego, że ludzie oszczędzają jak mogą i na czym mogą, odmawiając sobie wszystkiego, w nadziei, że zrekomensują to sobie z nawiazką po powrocie do Polski. Dla wielu z nich pobyt w Anglii staje się

wielką dziurą w życiorysie a jego sens sprowadza się do przywiezienia jak największej ilości pieniędzy.

Po powrocie, kiedy zobaczą puste półki i wezmą pierwszą państwową wypłatę równą słabej londyńskiej dniówce, zaczynają znów myśleć o tym, żeby wyjechać i znów życie zamienia się na oczekiwanie - tym razem na wyjazd "na zarobek". W ten sposób stan życia na niby przerosną na swoją "normalną", krajową egzystencję. Nigdzie nie są u siebie, nigdy nie żyją naprawdę. "I my wszyscy tam i tutaj / Tym rozdartych dusz na pół / na hustawce - miłość i smutek / choćbyś nawet co dzień walił głową w ściany" - przypominają się słowa jednej z piosenek Jacka Kaczmarskiego, traktującej zresztą o zupełnie innej sytuacji.

PRACA

Kiedy Polak w Londynie znalazł już jakieś, choćby najniebezpieczniejsze, mieszkanie, pędem rzuca się szukać

Tamizą czyli w Londynie

pracy. Szukanie pracy to zajęcie nad wyraz nieprzyjemne i energia, jaką wkładają w nie nasi rodacy daje się wyjaśnić tym tylko, że pozostawienie bez pracy jest tu najkosztowniejszą przyjemnością. Jedna dniówka wystarcza na opłacenie mieszkania na tydzień lub dwutygodniowe utrzymanie bez żadnego zaciskania pasa, nie mówiąc już o tym, że w przeliczeniu na złotówki wyraża się liczbą pięciocyfrową. Żeby nie pracować w Londynie trzeba mieć zaiste żelazne nerwy lub być buddystą, który osiągnął stan najwyższego oświecenia - nirwany, pozbywając się wszelkich pragnień. Ponieważ jednak takich, którzy ów stan doskonałości osiągnęli jest niewiele, większość Polaków żyje raczej w stanie nieustannej troski o to, żeby znaleźć pracę i ją utrzymać. Jakim przykrym widokiem jest osobnik bez pracy - chodzi zmierzwiony i błądy, niedojada (musi oszczędzać - nawet jeśli ma dość pieniędzy), a rano opowiada swoje sny o tym, jak szukał pracy i przez resztę dnia jedyny temat, jaki go może zainteresować to: kto gdzie pracuje i za ile.

W chwili wjazdu do Anglii, Polak otrzymuje tak zwaną *visitor's visa*, która zabrania mu podejmowania płatnej bądź bezpłatnej pracy. Innymi słowy, Polacy pracują w Anglii nielegalnie, co znacznie ogranicza ich możliwości zatrudnienia. Z zawiścią patrzy na obwiszone ofertami agencja pośrednictwa pracy, w których jednak wymagany jest permit tzn. pozwolenie na pracę. Drażni ich także wysokość oferowanych stawek: dwu- lub trzykrotnie większe niż to, na co mogą liczyć ludzie zatrudnieni "na czarno". "I gdzie jest to niby bezrobocie!" - wykrzykują, widząc mnóstwo niedostępnym im ofert na każdej większej ulicy. Wyobrażenie sobie, że wymarzone przez nich zmywanie czy kelnerowanie nie musi stanowić szczytu życiowych aspiracji dla przeciętnego obywatela Zjednoczonego Królestwa to wysiłek na jaki naszych rodaków na ogół nie stać. Zresztą ich wyobraźnię na dobre opanował kurs funta w stosunku do złotego.

Najbardziej chyba rozpowszechniony sposób szukania pracy to spisanie ofert z tablicy ogłoszeniowej w POSK-u. Ludzie, którzy tam się ogłaszają na ogół nie wymagają permitu. Jest to sposób szczególnie dogodny dla tych, którzy nie znają angielskiego. Jego wada jest jednak to, że na każde ogłoszenie przypada bardzo wielu chętnych, tak że atrakcyjniejsze, a choćby nawet tylko przyzwoite, oferty są natychmiast rozchwytywane.

Dlatego co bardziej obrotni nie będą czekać na ogłoszenie, ale sami wyruszą na poszukiwanie pracy. Chodzą od restauracji do restauracji, powtarzając: "Can I speak to the manager" i "I'm looking for a job". Jest to metoda wyczerpująca fizycznie (trzeba się nachodzić), a jeszcze bardziej - psychicznie. Przed każdą restauracją trzeba od nowa przewyżać niecierpliwość i brak pewności siebie (sytuacja trudniejsza niż kiedy po prostu odpowiadamy na ogłoszenie). Potem trzeba na ogół wysłuchać odpowiedzi odmownej: "No, thank you. We have full staff" lub "Maybe next week" - czyli na świętego nigdy.

Inny sposób polega na studiowaniu ogłoszeń w gazetach - w *London Evening Standard*, gazetach lokalnych bądź bezpłatnych magazynach. Do tego jednak trzeba

znać nieco angielski. W dodatku są tam na ogół oferty zatrudnienia ludzi z pozwoleniem na pracę. Wydzwania nie po wszystkich tylko po to, żeby usłyszeć pytanie o permit najprawdopodobniej zaocucuje jedynie ogromnym rachunkiem telefonicznym.

Kiedy już wreszcie któryś menadżer wyraził chęć zatrudnienia nas, wступujemy do negocjacji płacowych. Rzecz jasna, ewentualny pracodawca zdaje sobie sprawę, że zatrudnia człowieka bez pozwolenia, co stawia nas w pozycji raczej niekorzystnej. Dlatego niektóre propozycje płacowe są tak skandalicznie niskie, że należałoby wyjąć rewolwer i strzelić facatowi w łeb - tak by pewnie postąpił dzielnicy Arnie Schwarzenegger. My jednak przygryzamy wargi i zaczynamy się targować z nadzieją, że uda nam się dostać te nadznie dwa funty na godzinę, bo tyle wynosi chyba minimalnie przyzwoita stawka. Jeśli mamy szczęście i menadżer pilnie kogoś potrzebuje - ulegnie. Warto więc spróbować się postawić. Częściej jednak to nasz rodak ustępuje i żeby wyjść na swoje zgadza się pracować dwanaście i więcej godzin dziennie. Mało kto pracuje normalnie osiem czy dziewięć godzin. Pewien świeżo przybyły z Polski chłopak - jeszcze bez pracy - doznał wstrząsu, kiedy zadzwonił do zaprzyjaźnionego "polskiego domu". "Czy nie za późno dzwonić?" - zapytał (była jedenasta wieczór). "Nie, ludzie dopiero zaczynają wracać z pracy" - padła odpowiedź.

Następna sprawa to utrzymanie się w pracy. Zdarza się - ale nie jest to z pewnością regułą - że szef stara się wycisnąć z pracownika ile się tylko da, do granic jego fizycznej wytrzymałości. Kiedy ten się stawia - zostaje wyrzucony i za przepracowany czas nie dostanie ani pensa. Z reguły najtrudniejsze są pierwsze dni - wtedy najłatwiej jest wylecieć. Potem szef zaczyna traktować nowego pracownika jako "swojego" człowieka i sytuacja się stabilizuje. Jeśli dotąd nie wyleciał, to znaczy że szef chce go mieć na dłużej. Odtąd może już być w miarę spokojny.

Zupełny margines stanowi sytuacja, kiedy pracodawca zwalnia nowego pracownika po kilku dniach, nie płaci mu i natychmiast przyjmuje nowego - zapewniając sobie w ten sposób bezpiętną się robotę. W takich wypadkach bardziej może od straconych pieniędzy bolesna jest upokarzająca bezsilność osoby tak oszukanej. Bywają jednak wypadki jeszcze gorzej, jak ten, kiedy pewna studentka z Polski nieopatrznie dała swojemu pracodawcy paszport, stając się w ten sposób czymś w rodzaju jego niewolnicy - jej pan i władca zmuszał ją do świadczenia sobie usług erotycznych, nie pozwalając się z nikim spotykać ani nie zrobić bez swojej wiedzy. W końcu od niego uciekła... Historie takie, choć zapadają w pamięć, zdarzają się jednak raczej rzadko i trudno je uznać za typowe doświadczenia Polaków w Londynie. Większość z nich po pierwszym, trudnym okresie pracuje spokojnie i cicha w pocie czoła zarobione funty.

Polacy w Anglii pracują na ogół w zawodach, jakich rodowici Anglicy raczej się nie tykają - od tego są Pakistańczycy, Hindusi, Arabowie, Jamajczycy, a także Irlandczycy, no i Polacy. Znaczy to, że główna konkurencja naszych w Londynie są "kolorowi". Jednocześnie hinduscy czy arabscy menadżerowie znacznie częściej zatrudniają "na czarno" niż ich angielscy odpowiednicy. Tak więc, idąc do pracy, taki wytrawny z równowagi Polak ma do czynienia głównie z ludźmi innej rasy, których interesy są na ogół konfliktowe z jego interesami. Rodzi się z tego rasizm - zjawisko, którego skala wśród Polaków na Zachodzie jest wprost przerażająca. Każdy konflikt w pracy - z szefem czy innymi pracownikami - może stać się pożywką dla uprzedzeń rasowych: wtedy winien jest nie ten czy ów pojedynczy człowiek, ale "wredny Arab", "leniwy czarnuch" czy "głupi Pakistańczyk". Jeśli nabierze cię menadżer, to dlatego, że jest to "skąpy Hindus" lub "chytry Żyd". Fakt, że Polacy też potrafia zachowywać się jak świnie nie jest w stanie zachwiać niewzruszonej pewności małego rasisty, że kolorowi to podludzie. Pieni się to obrzydliwość, że aż strach.

ZOBACZYĆ LONDYN I...

Pewien człowiek, który spędził w Londynie sześć tygodni na szukaniu pracy (robił to wyjątkowo nie-dojęźnie), zwierzał się znajomym: "Jestem tu sześć tygodni i nie widziałem nawet Big-Bena. Zresztą mnie nie interesują żadne Big-Beny. Interesuje mnie forma, samochody i dziewczyny." Inny znów narzekał: "Moja życzynka - Angielka - chce mnie ciągnąć po jakichś zabawkach, zwiedzać jakieś muzea. Niech idzie do diabła, powiedziałem, ja jestem tutaj, żeby zarabiać pieniądze". Nie są to bynajmniej jakieś wyjątki wśród Polaków w Anglii. Podobnych chanków krąży po Londynie całe stado, wieszac za możliwość jak najszybszego

Karol A.

Emigracyjni wszyscy święci

Pisarz musi mieć świadomość dla kogo pisze książki bez względu na to czy dotarcia do tego określonego czytelnika jest łatwe, czy nie. Nawet emigracja, zerwanie z krajem, językiem, uczestnictwem w kulturze, nie zmienia tego stanu rzeczy, nie zwalnia pisarza z odpowiedzialności za własne słowa. Przywykliśmy, takie są już uwikłania naszej historii, traktować głos emigracji jak coś w rodzaju głosu sumienia. Tradycje tego zjawiska są przebogate i sięgają początkiem okresu popowstaniowej tzw. Wielkiej Emigracji.

Już sama nazwa - Wielka Emigracja - powstała nie ze względu na liczbę uciakających przed prześladowaniami, czy niewielką osobą (a liczba to nie bagatela, z którą równać mogła się jedynie w tym okresie emigracja irlandzka) ale w uznaniu wielkości kilku zaledwie nazwisk, które emigrację tę utorytetem swoim opasały. I Mickiewicz, i Słowacki, i Krasiński, i Norwid, a jeszcze Goszczyński itd. to wszystko emigranci, z własnego lub cudzego wyboru a przecież cała ich twórczość powstawała ze świadomością, że adresowana jest do czytelnika w Kraju - jego miała kształtować, bogacić, wzruszać albo tylko zachwycać, zabawić. I docierały do Polski i Litwy książki drukowane w Paryżu, w bagażach wędrownych Żydów przez cały wiek XIX i początki XX. Wielka Emigracja tworzyła kulturę polską utożsamianą z osobami "wieszczów" w sposób naturalny, nie pretendując do miana wolnej czy alternatywnej. Zakładała placówki naukowe, biblioteki, muzea ze świadomością, że wraz z odzyskaniem niepodległości

wszyscy i wszystko wróci do Krakowa, Lwowa czy Warszawy. Tak powstała Biblioteka Polska w Paryżu i Muzeum w Rapperswilu, ośrodki w Londynie i Brukseli zbierające pamiętki, książki, rękopisy i dokumenty, archiwa wielkich rodów magnackich i prywatne kolekcje (duża część zbiorów powróciła do Polski, by spłonąć w Powstaniu Warszawskim lub dostać się w ręce Armii Czerwonej).

Znaczenie emigracji określała nie polityka, ani - mniej lub więcej trwałe - układy zawierane zawsze ze względu na koniunkturę, nie słabość okupanta - ale literatura. Tak jest również obecnie. W roku 1955 pisał Paweł Kostowicz w liście do przyjaciół "Literatura jest jedynym wyrazem nie poddającej się obliczeniu siły, jaka tkwi w emigracji. Jeśli jej nie stanie, emigracja skurczy się do zjawisk obliczalnych, których suma w trzeźwym rachunku będzie bliska zero". Któż dziś poza wąską grupą historyków i pasjonatów zna nazwiska przywódców Wielkiej Emigracji. Kto potrafi wymienić prezydentów czy premierów Rządu RP na uchodźstwie po roku 1945, a przecież rząd ten powstał jeszcze długo po wojnie oficjalnych przedstawicieli na Kubie, w Hiszpanii czy Watykanie. Sytuacja polityczna, analogiczna do tej sprzed lat 120-130 (czyż tak naprawdę różnią się hymny na cześć Stalina od hymnów poświęconych Aleksandrowi?) uświęciła literaturę tworzoną na emigracji. Poza Krajem powstała przecież i Wierzyński, i Lechoń, i Zygmunt Nowakowski, i Czesław Straszewicz, Baliński, Wittlin, i wielu innych równie znanych. Pisali oni ze świadomością, że będą ich przedzej czy później czytać i drukować w Polsce; po raz wtóry zakładali biblioteki i muzea, instytuty naukowe i uniwersytet; fundacje i wydawnictwa ocalając resztki tego, co pozostało w gruzach spalonej i skompromitowanej West-Europcy.

Emigracja wojenna i powojenna utworzyła tym samym pomost, nie tradycję kulturowej, łączącą wolną myśl 20-lecia międzywojennego (z całym jej kompleksem tolerancji i uprzedzeń) wraz z nową wyzwoloną literaturą końca lat 70-tych. Nie stworzyła "wieszczów" (nikt poza może Zygmuntem Nowakowskim, a ostatnio Czesławem Miłoszem, nawet w żartach do tytułu tego nie pretendował) ale właśnie dzięki pisarstwu była owym, wspomnianym już, "sumieniem narodu". Jak długo bowiem istnieje literatura tworzona na emigracji, tak długo tworzone są pozory, że jakieś konkretne siły narodu stoją za instytucjami emigracji, że jakaś część społeczeństwa duchowo chociaż utożsamia się z nimi kontestując kulturę i wolność reglamentowaną w Kraju.

Książki drukowane w Paryżu i Londynie nadal przeznaczane są do Polski w bagażach podręcznych. Pisarze mieszkający na wygnaniu chcą wydawać w Warszawie, zawsze chcieli (Jerzy Stempowski pisał w 1957 roku: "Zasadniczo jestem za wydaniem moich szkiców w Kraju. Jedyny skrupuł jaki mógłbym mieć pochodziłby z próżności autorskiej, bo szkice moje, wydrukowane w Kraju, utracą połowę uroku jaki miałyby w lekturze nielegalnej..."), nie chcą tylko godzić się z cenzurowaniem ich tekstów. Pewnie dlatego wydaje się w ogromnej większości utwory autorów nieżyjących już. Szkoda tylko, że nawet szatańskiej metodzie brak korespondencji; mija właśnie 20 lat od śmierci 4 najwybitniejszych pisarzy powojennego uchodźstwa, a ich twórczość nadal tylko fragmentarycznie dostępna jest odbiorcy w Kraju. Zapewne jednak nieprzekładnie się oficjalnego wydania "Czarnego poloneza" Kasimierza Wierzyńskiego, "Sowy, córki piekarza", "Wspomnień z Jaffy" i integralnych "Pięknych dwudziestolecia" Marka Hłaski, "Wspomnień polskich", "Wspomnień po Argentynie", "Opętanych" i rozmów z Dominikiem De Rous Witolda Gombrowicza oraz kompletnego tomu esejów i dzienników Jerzego Stempowskiego*).

Emigracja nawet małej części narodu świadczy o chorobie państwa, a z naszego państwa pisarze uciekają nie tylko po to, by móc pisać bez świadomości przymusu autocenzury lecz również by nie pisać w ogóle (Janusz Pastuszek), a na to nie ma wpływu emigracja, ale świadomość, że nie ma dla kogo pisać.

Karol A.

*. "Czarny polonez" Wierzyńskiego i "Sowa, córka piekarza" Hłaski zostały wydane w Polsce przez wydawnictwa niezależne, "Piękni dwudziestolenni" ukazali się także oficjalnie lecz z ingerencjami cenzury - przyp. red. "WG"

Widzenia nad Tamizą czyli...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 14 I 15

dorobienia się i już. Ci ludzie, odgradzeni od otaczającego ich świata niewidzialnym murem (bariera języka i kultury) na ogół mają jednocześnie bardzo nieprzychylny stosunek do Polski. Kiedy spytać jednego z drugim co sędzi o patriotyzmie, wymamrocze coś o "kiszniu się w narodowym sosie" i że jest "kosmopolita", co w tym kontekście znaczy, że nie obchodzi go nic prócz własnego tyłka. Nie obchodzi go co się dzieje np. w Anglii, jej historia, kultura czy problemy ludzi tam mieszkających, tak jak nie obchodzi go co się dzieje w Polsce. Nie rusza go wiadomości o strajkach czy jakieś tam okrągły stołach. I tak najcieplejsze słowa o Polsce i "Solidarności" zdarzyło się studentowi słysząc od cudzoziemców. Rozczulił go szczególnie pewien Japończyk, z którym pracował w restauracji; kiedy boss jakimś zarządzeniem wzburzył bardzo cały personel, ów Japończyk podszedł do studenta i powiedział: "Dzwon po Wałęsę - on będzie wiedział co zrobić".

Na odwrót, dla takiego polskiego "kosmopolity" Polska i komuna to jedno, a wobec Czerwonego ma on postawę nieprzejednaną - "do komunistów to tylko wjechać czajnikiem i strzelać!". Kiedy jednak spytać go jak walczą z komuną kiedy był tam, w kraju - milczy. Nie walczą wcale. Inny znów stwierdza, że kiedy widzi w telewizji manifestacje, to chętnie pomógłby komuś ją rozpedzać, bo przez "takich" władza może się rozgniewać i przestać wydawać paszporty. Czy takim ludziom naprawdę uda się zasypać pieniędzmi tę dziurę, jaką pozostawia brak poczucia nikiel choćby wiewi i jakaś wspólnota - niech to będzie Polska, Anglia czy choćby ludzkość cała? Najwyraźniej wielu sądzi, że można... Szczególnie ludziom, którzy zdecydowali się nie wracać do kraju jednolicie czarny obraz Polski potrzebny jest do zagłuszenia niepokoju związanego z trudną decyzją emigracji.

Tymczasem studentowi kończy się urlop z uczelni - czas wracać w rodzinne pielesze. Zegnając londyńskie puby, zegnając sserwane piatrusy, zegnając Tamizę. Spotkamy się jeszcze, jeśli MSW da pasport a Home Office wiza.

LEMUEL

Szkoła, jaka może być - spojrzenie pierwsze

PIERWSZE REFLEKSJE
PO NASZEJ ANKIETE

Trochę długo to trwało, ale są. Wróciły do nas ankiety "WG" "Szkoła jaka może być". Jest już ich kilkakaset i wciąż przybývają nowe. Nim będziemy mogli podać wyniki zbiorcze tej ankiety może warto podzielić się z Wami kilkoma refleksjami na temat "przejrzanego materiału".

Na początek więc chyba dane z tzw. metryczki. Tu chyba najtrudniej jest dokonać jakiejś generalizacji bez dokładnego zliczenia odpowiedzi, ale jedno jest pewne: ankieta dotarła do wielu bardzo różnorodnych środowisk. Wypełniły ją zarówno dziewczęta jak i chłopcy, z różnych szkół (reprezentowane są wszystkie ich zasadnicze typy), z wszystkich klas. Respondenci mieszkają zarówno w miastach jak i na wsi (okazuje się więc, że "WG" kolportowana jest w bardzo różnych miejscach kraju), ich rodzice są ludźmi o zróżnicowanym wykształceniu i zawodach. Jest to dobra prognoza dla określenia tzw. poziomu reprezentatywności ankiety, która przecież rozprowadzana była w bardzo specyficzny sposób, wśród mimo wszystko szczególnego środowiska czytelników "WG".

Przejdźmy więc do pytań ankiety pomijając z konieczności tzw. pytania zamknięte (tzn. te gdzie odpowiedzi należało wybrać z zestawu odpowiedzi umieszczonego pod pytaniem), bo tu należy dokonać obliczeń, na które przyjdzie czas przy ostatecznym opracowaniu. Co więc sądzicie o szkole? Dla wyraźniej mniejszości jest to miejsce codziennej nauki, zdobywania wiedzy, kształtowania swej inteligencji, pomoc w przyszłym życiu. Inni traktują ją jako obowiązek codzienny, miejsce gdzie spędza się dużo czasu; miejsce spotkania z przyjaciółmi, rozrywkę i ucieczkę od prawdziwych obowiązków, przedłużenie młodości; konieczność na drodze do dorosłego życia; instytucję; czy wprost zło konieczne, przykry obowiązek, miejsce gdzie źle się czuje, gdzie traci czas.

Nasza szkoła to według was szkoła przeciętna, często ubogo wyposażona, o małej liczbie nauczycieli, nudna, stresująca. Znacznie rzadziej szkoła bardzo dobra, choć chyba równie rzadko zła (skomunizowana, zbiorowisko ludzi, którzy nie wiedzą czego chcą). Nauczyciele postrzegani są najczęściej jako konformiści obojętni na potrzeby uczniów, często źle przygotowani i prymitywni, niesprawiedliwi i wykorzystujący swoją pozycję, pogardzający uczniem. Rzadko określani są jako nauczyciele dobrzy, inteligentni, tolerancyjni, wyrozumiali czy nawet wymagający. Nauczyciele, których znaczenie nie odbiegają od powyższej charakterystyki, choć zdecydowanie więcej jest tu przykładów pozytywnych. Stąd wydaje się, że liczba przykładów pozytywnych i negatywnych jest niemal równa.

Dobra szkoła to szkoła potrafiąca zainteresować i nauczyć rzeczy potrzebnych, przyciągająca formą zajęć i stosunkami w niej panującymi, kształtująca inteligencję i wiedzę uczniów; pozwalająca uczniom rozwijać swoje możliwości, rozwijająca ich zdolności; ucząca bez strachu, nie gnębąca ucznia, nie zabijająca osobowości, szanująca w nim człowieka; będąca drugim domem, dająca możliwość rozwoju osobowości, ucząca prawdy, samodzielnego myślenia, dająca światopogląd; przygotowująca ucznia do przyszłego życia, podjęcia dalszej nauki; dobrze wyposażona, z uczącymi w niej fachowcami, przestrzegająca Kodeksu Ucznia.

Dobry nauczyciel to nauczyciel, który ma odpowiednie podejście do młodzieży, rozumie jej kłopoty, umie poratować, porozmawiać na różne tematy, zna potrzeby młodzieży, jest wyrozumiały, ludzki, jest autorytetem, ma powołanie do tego zawodu, potrafi postawić się w sytuacji ucznia i jest fachowcem, potrafi nauczyć, wytłumaczyć, dużo wie i potrafi to przekazać, potrafi zainteresować uczniów, zdopingować ich, kocha swój przedmiot, nie jest agresywny, nie jest zaślepiený realizacją programu, jest sprawiedliwy, mówi prawdę, uczy bez stresów, nie wzbudza lęku.

Jak sami widzicie obraz szkoły i nauczycieli jest już po tych wstępnych oględzinach zarysowany gruba czarna kreska. Warto się więc zastanowić dlaczego tak jest, czy tak musi być, co trzeba zrobić, by było inaczej? Ta długa lista żalów do naszej szkoły i nie krótko lista życzeń, pod jej adresem, zmusza chyba do zastanowienia.

Jaką więc szkołę chcielibyście widzieć? Tu znacznie łatwiej już o precyzyjność odpowiedzi. Zdecydowanie w naszej szkole nie byłoby miejsca na PC, język rosyjski, PMOS, religioznawstwo. Wielu z was usunęłoby również wychowanie techniczne, chemię, geografę, fizykę, matematykę, muzykę, plastykę, pedagogikę, ekonomię. Ci którzy chcieliby szkoły z większością przedmiotów obowiązkowych widzieliby wśród nich fakultatywnymi informatykę, filozofię, historię sztuki, retorykę, ochronę środowiska, muzyczne i wszystkie bez wyjątku języki obce. Choć byli też tacy, którzy za obowiązkowe przedmioty uznaliby: język polski, matematykę, historię polski, fizykę, biologię, język angielski (byli też tacy, którzy tylko dwa pierwsze przedmioty uznawali za obowiązkowe). Proponowana przez was zmiany w programach obecnie wykładanych przedmiotów są tak rozległe i dotyczą tak dużej liczby przedmiotów, że lepiej będzie chyba teraz poprzestać na tym stwierdzeniu i wrócić do tego tematu w szczegółowym raporcie z wyników ankiety.

Chcielibyście zdecydowanej i daleko dającej autonomii programowej nauczycieli, w szczególności w takich przedmiotach jak historia, język polski, matematyka, języki obce i przedmioty zawodowe.

Co do tego czy szkoła powinna położyć większy nacisk na samodzielne organizowanie tematów przez ucznia zdania są podzielone, choć wydaje się, że odpowiedź twierdząca przeważa. Propozycje dotyczące form tej samodzielności są jednak dość stereotypowe i zwykle dotyczą opracowania tematu w grupach, przygotowania referatów z zadanej lektury, czy prowadzenia lekcji przez ucznia pod nadzorem nauczyciela. Ci co są przeciw temu argumentują to tym, że nauczyciel zrobi to lepiej i że uczeń cierpi na stały brak czasu i obciążenie programem; że powszechna jest apatia i brak inicjatywy ze strony uczniów, że umożliwi to tylko "miganie się" od nauki (obecna szkoła nie ma możliwości wyegzekwowania tego od ucznia).

Zdecydowanej większości z was odpowiada opisany w ankiecie system "projektów", choć propozycje zadań i projektów zgłaszane przez was w ogromnej części dotyczą wycieczek tematycznych (i) i oceniania realizacji jakichś zadań użytkowych (np. programi komputerowego na zajęciach z informatyki).

Szkoła bez stopni podobała się również powszechnie. Byli też jednak i tu "sceptycy". Ci podnosili jako zarzut: brak możliwości "samokontroli" swej sytuacji i zbyt ogólne kryteria oceny pracy ucznia, co uniemożliwia uchwycenie (i nagrodzenie) systematyczności; możliwości "oderwania" szkoły, to że oceny "dopingują" do nauki i że system stopni jest prostszy dla nauczycieli i wygodniejszy dla uczniów.

Nadal absolutnie powszechne jest zadanie swobodny zakładania szkół niezależnych od państwa. Jest jednak odpowiedź na pytanie: czy państwo powinno dotować szkoły prywatne (bo rodzice dzieci tam uczęszczających też płacą podatki na oświatę), są wyraźnie podzielone. Argumenty przeciw dotyczą głównie tego, że pozbawiłoby to szkołę niezależności, inni twierdzą, że w tym wypadku trzeba by wprowadzić opłaty za szkoły państwowe, że oznaczałoby to dotowanie każdej działalności prywatnej. Byli też tacy, którzy twierdzili, że szkoły prywatne powinny być dla ludzi bogatych i stąd państwo nie powinno ich dotransportowywać.

Za wcześniej jeszcze na szczegółowy raport z badań (to musi potrwać). Stąd trudno formułować zdecydowane opinie na temat obrazu szkoły istniejącej jak i szkoły "jaka może być". Trudno się jednak oprzeć jednej refleksji natury zasadniczej - tak, jak jest, dalej być nie może. Wiemy dokładnie czego nie chcemy, znacznie trudniej sformułować nam model tego do czego dążymy, choć wyraźnie widać, że wszystko co jest zdecydowanym zaprzeczeniem szkoły istniejącej zyskuje duże poparcie - po prostu wszystko wydaje się lepsze od tego, co jest. I chyba jest w tym duża racja. Mała pociecha są bowiem tkwiące w statystycznej masie okrucy optymizmu. Tak więc być nie może. Dłużaj nie można czekać. Jak trzeba zrobić, by było dobrze? - warto to chyba jeszcze raz przemysleć.

Marek Rusakiewicz

Jan Kowalski

Młodzież i autorytety

Czy współczesna młodzież polska uznaje autorytety? A jeśli tak, to kto jest takim autorytetem? Czy autorytety te zmieniają się w zależności od grupy społecznej? Czy na ten wybór ma wpływ miejsce zamieszkania? Czy może raczej istnieje coś na kształt wspólnoty pokoleniowej młodych, w której traca ostrość wszelkie społeczne różnice i dzięki istnieniu której możemy mówić o autorytetach młodzieży w ogóle? I wręczając: Czy deklarowane autorytety są autorytetami rzeczywistymi, tzn. czy uznanie kogoś za autorytet wynika ze znajomości postępowania i poglądów danej osoby, czy jest raczej wynikiem panującej mody? Takie pytania nasuwają się podczas lektury wyników badań Marka RUSAKIEWICZA, który w czerwcu zeszłego roku przeprowadził ankietę na temat autorytetów wśród gorzowskich licealistów (badaniami objętych zostało 183 uczniów klas trzech I i II LO w Gorzowie.)

W ankiecie prosiło o podanie nazwisk żyjących Polaków, którzy cieszą się ogólnonarodowym szacunkiem. Większość licealistów, co było chyba do przewidzenia, za osobę obciążoną największym szacunkiem uznała Jana Pawła II. Wybór ten, jak zauważa Marek Rusakiewicz, nie miał być równoznaczny z uznaniem autorytetu kościoła katolickiego, bowiem papież jest często postrzegany w oderwaniu od niego, jako "osoba-institucja". Dlatego też autorytet jego uznają również ludzie innych wyznań i niewierzący. Autorytet Jana Pawła II uzasadniano rozmaicie. Najwięcej osób, bo aż 20,2% wymieniło jego działalność na rzecz pokoju (propagowanie pokoju i rozbrojenia). Na miejscu drugim (18,5%) znalazła się bardzo ogólnie rozumiana "troska o losy świata", a więc zaangażowanie w losy narodów, wyznaczenie, staranie się o poprawę świata, zjednoczenie narodów itp. Dalej ankietowani wymieniali cechy osobowe papieża, np. dobroć (14,5%), doskonałość (12,9%), patriotyzm (12,9%), mądrość (9,7%), miłość bliźniego (8,1%), inteligencję (6,5%), uczciwość (4,0%). Inne wymienione zasługi i zalety Jana Pawła II to: religijność, wiara, tolerancja, wyrozumiałość, prawdomówność, poświęcenie, odwaga, stanowczość w działaniu, podejmowanie dobrych decyzji i prowadzenie skutecznych działań.

Jak łatwo zauważyć, przytoczone uzasadnienia dają się podzielić na dwie grupy: pierwsza z nich wiąże się z działalnością międzynarodową papieża, druga - z jego cechami charakteru. Co ciekawe, najwięcej licealistów wybrało właśnie uzasadnienie z pierwszej grupy, pomijając lub wymieniając w dalszej kolejności tak na ogół cenione cechy jak patriotyzm, uczciwość, mądrość czy - w wielu środowiskach - religijność. Co jest powodem takiego właśnie wyboru? Czyżby gorzowska młodzież tak wysoko ceniła sobie działanie i skuteczność działań, zaś pracę nad własnym charakterem uznawała za mniej ważną? Trudno chyba przypuszczać, że młodzi gorzowianie z taką troską podchodzą do spraw ogólnoswiatowych, tak bardzo dbają o pokój i zjednoczenie narodów. W jakim stopniu o takim właśnie wyborze zdecydowała wizja Jana Pawła II tworzona

przez środki masowego przekazu? Przecież to właśnie w dzienniku telewizyjnym z upodobaniem podkreśla się papieskie inicjatywy pokojowe lub raczej ich zbędność z aktualną polityką Kremla. Czy uznanie przez gorzowskich licealistów zjednoczenia narodów za rzecz tak istotną nie ujawnia czasem wpływu komunistycznej ideologii, pełnej hasła o wyzwoleniu wszystkich ludzi i wezwań do łączenia się proletariatu wszystkich krajów? Ale na tym nie koniec wątpliwości. Jeśli uznanie papieża za największy autorytet uzasadnia się argumentami czerpanymi z dziennika telewizyjnego: pochodów pierwszomajowych, to czy autorytet ten nie wynika z mody tylko: przywiązanie do "zachowań-symboli", którym nie poświęca się większego zastanowienia i których nie próbuje się nawet naśladować?

Na drugim miejscu, co również nie wydaje się być niespodzianką, znalazł się Lech Wałęsa (14,2%). Zdobyciem ankietowanych przywódca "Solidarności" jest autorytetem ponieważ: walczy o lepszą sytuację ludzi, jest patriotą i prawym Polakiem, pragnie sprawiedliwości, jest odważny, domaga się wolności słowa, i praworządności, pragnie udoskonalić świat, jest symbolem antykomunizmu itp.

25 osób (13,7% badanych) wyraziło swój szacunek do Krzysztofa Pendereckiego. Penderecki swój prestiż zawdzięcza twórczości, jest uważany za dobrego muzyka, kompozytora, dyrygenta, człowieka inteligentnego, patriotę (propagator polskiej kultury za granicą, rozgłasza nasze imię, nigdy nie wyparł się polskości), człowieka światowej sławy.

23 osoby (12,6%) wśród swoich autorytetów wymieniły Czesława Miłozza, uważając go za wybitnego poetę, twórcę, laureata nagrody Nobla, patriotę (rozgłasza w świecie nasz naród, poezja dla całego narodu, literatura zaangażowana, patriotyczna), człowieka inteligentnego, głoszącego prawdę i pragnącego udoskonalić świat.

Wśród osób najczęściej obdarzanych szacunkiem znalazł się na piątym miejscu Wojciech Jaruzelski, który w trakcie prowadzenia badań był uważany powszechnie za przedstawiciela władzy. Dlatego też wskazanie na osobę Jaruzelskiego jest wskaźnikiem postawy prorządowej. Taką postawą zadeklarowało 17 ankietowanych (9,3% badanych). Osoby te uznały, iż Jaruzelski jest mądry i inteligentny, stara się, robi wszystko, aby wyprowadzić Polskę z kryzysu, jest nie tylko głosem państwa, ale i przywódcą narodu, rozgłasza Polskę, cieszy się zaufaniem społecznym, wybiera słuszną drogę - np. postanowienie w sprawie 13 grudnia, jest spokojny, przedsiębiorczy, jest dobrym politykiem, pragnącym dotrzeć do celu.

Popularnymi wśród młodzieży okazali się również

Stanisław Barańczak
CI MEZCZYNI, TAK POTEZNI

Ci mężczyźni, tak potężni,
pokazywani zawsze
nieco od dołu przez przykucniętych
kamerzystów, unoszący
ciężką stopę, aby mnie rozgnieść,
nie, aby się wspierać
po schodkach samolotu, podnoszący
rękę
na mnie, nie, na powitanie tłumów
postawicznie machających
chorągiewkami, ci podpisujący
mój wyrok śmierci, nie, tylko umowę
handlową osuszana natychmiast
usłużnym
bibularzem,

ci tak odważni, z tak podniesionym
stojący w otwartym samochodzie, tak
ważnie wizytujący front robot
stawiając stopę w brudzie
ci z twardą ręką, zdątną do walenia
mównicy i klepania po ramieniu
zgiętych w ukłonie ludzi,
przyszpilonych przed chwilą
orderem do czarnego garnituru,

zawsze
tak się ich bałeś,
taki byłeś nały
wobec nich, zawsze stojących
ciężko, na schodach, mównicach,
trybunach,
a przecież wystarczył ci na jedną
chwile
przestać się bać, powiedzmy:
zacząć się bać trochę mniej,
by się przekonać, że to właśnie
oni,
że to oni najbardziej się boją.

Ja wiem, że to niesłuszne,
Paryż 1977

Stanisław Barańczak 8.2.80: I NIKT MNIE NIE UPREDZIŁ

I nikt mnie nie uprzedził, że wolność może polegać także na tym, że siedzę w komisariacie z brulionem ukrytym (co za przekorności w nogawce zimowej białej), podczas gdy pięciu cywilów z wyjątkiem i jeszcze wyższymi poborami traci czas na analizie śmieci wyciągniętych z polskich biletów tramwajowych, kwitów z magla, chustki do nosa i tajemniczej (skromna ze śmiechem) kartki:

"Włoszczyzna
puszka Groszku
koncentrat pomid.
ziemiaki";

I nikt mnie nie uprzedził, że niewola może polegać także na tym: że siedzę w komisariacie z brulionem ukrytym (co za groteska) w nogawce zimowej białej, podczas gdy pięciu cywilów z wyjątkiem i jeszcze niższymi czołami na prawo obmacywać wnętrze drzwi wyszarpane biletami tramwajowe, kwitek z magla, brudną chustkę, a nade wszystko (nie, tego nie zniosę) tę kartkę:

"Włoszczyzna
puszka Groszku
koncentrat pomid.
ziemiaki";

I nikt mnie nie uprzedził, że cały mój glob to ten odstęp, dzielnicy przeciwne bieguny, między którymi nie ma właściwie odstepu

Tryptyk z betonu, zmierzania i sniegu,
1980 (KOS); Paryż 1981

Roman Polański i Aleksander Krawczuk, których obdarzyło zaufaniem po 14 osób (7,7% badanych). Roman Polański jest ceniony nie tylko za znakomity talent reżyserski, ale również za patriotyzm (propagowanie polskiej kultury za granicą, rozślawił Polskę, przyznawania się do polskości, odwaga w pokazywaniu spraw polskich), wybitnie się w świecie, niekonwencjonalność.

Natomiast A. Krawczuka licealiści uważają za znakomitego znawcę historii, posiadającego szeroki zasób wiedzy, cechującego się wysokim poziomem kultury, sympatycznego, zasłużonego dla kultury narodowej, dającego do samofinansowania instytucji kulturalnych, posiadającego właściwy stosunek do kultury i sztuki.

Na "licie autorzytetów", poza siedmioma wspomnianymi, znaleźli się: Wajda, Boniek, prymas Glemp, Jerzy Urban, Suchodolski, Bratny, Dymna, Żukowski, Dobraczyński, Santor, Fronczewski, Żuławski, Kołakowski, Samsonowicz, Rodowicz, Zawadzka (miss Polonia), Duczmal, Passent, Mrozek, Gombrowicz, Gepert, Szewińska, Fibak, Szafel, Ekiert, Jabłoński, Rakowski, Gorbaczow, Reagan, wszyscy, którzy walczą o godność i swoją barwę narodową, Dobrowolski, Gwiazda, Bujak, "Solidarność", kardynał Krol, kardynał Rubin, profesorowie KUL-u, Bajor, Demarczyk, Teplitz, Bator, Breter, Kazimierz Górski, Dinos, Stasiak (nauczyciel wych. muzycznego w I LO), ojciec Roberti, generał Maczek, prof. Tołpa, sportowcy, Broniarek, Szynkiewicz, generał Rola-Zymierski, Mira Zimińska, Zdzisława Guca.

10 osób (5,5% badanych) stwierdziło, że nie posiada autorzytetów - nie zna osób cieszących się szacunkiem (nie mam na ten temat zdanie, nikt, wszyscy umarli, nie ma takich osób, nie znam, nie wiem).

16 osób (8,7% badanych) nie udzieliło na to pytanie odpowiedzi.

Autorzytety wskazane przez licealistów można sklasyfikować w następujący sposób:

- a - Fajtek - 124 osoby (67,8% badanych)
- b - "świat kultury" (pisarze, dziennikarze, artyści, poeci, aktorzy, piosenkarze, sportowcy - 71 osób (38,8% badanych))
- c - Wałesa i osoby związane z opozycją - 26 osób (14,2%)
- d - Jaruzelski i inni członkowie władzy - 23 osoby (12,8%)
- e - inne osoby - 9 respondentów (4,9%)

Z każdym autorzytetem łączymy określone, cenione przez nas wartości. Analiza określa, cech przypisywanych przez licealistów osobom obdarzanym przez nich szacunkiem, pozwala odkryć ich świat wartości.

Ankietowani najbardziej cenili uczciwość, miłość, troskę o losy świata, dobroć, byczliwość, tolerancję, sprawiedliwość, poświęcenie, odwagę, stanowczość w działaniu; inne cechy charakteru - 60 respondentów (32,8% badanych).

Na drugim miejscu wymieniali wiedzę, mądrość, inteligencję i doskonałe wykonywanie swojego zawodu - 45 respondentów (24,8% badanych).

Na trzecim miejscu znalazły się określenia typu: "Polak w pełnym tego słowa znaczeniu", "działalność na rzecz Polski", "rozślawienie w świecie naszego narodu", "nigdy nie wyparł się polskości", "patriotyzm", które podkreślają patriotyzm jako cechę cenną

przez badanych - 28 ankietowanych (15,3% respondentów).

Część młodzieży pragnie uciec od autorzytetów, odrzucając autorzytety powszechnie przyjmowane, 5,5% badanych licealistów (10 osób) stwierdziło, że nie posiada autorzytetów.

Całkowite odrzucenie wszelkich autorzytetów nie jest jednak możliwe. Nawet anarchiści, których uważa się za odrzucających każdy autorzytet często ulegają autorzytetom, często powołują się na poglądy P.J. Proudhona, M.A. Bakunina, P.A. Kropotkina, J. Grave'a, G. Sorela i innych wybitnych przedstawicieli anarchizmu.

Respondentów, którzy stwierdzili, iż nie posiadają autorzytetów, cechuje postawa, która, za socjologiem amerykańskim Robertem Mertonem, można nazwać "wycofaniem". "Wycofanie" oznacza postawę odrzucającą powszechnie przyjmowane w danej grupie społecznej (społeczństwie) wartości i autorzytety oraz zastąpienie ich innymi wartościami i autorzytetami.

Marek Busakiewicz
Jan Kowalski

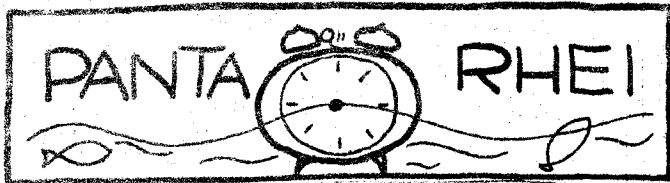
TRESURA SAMURAJÓW

Ogólnojapoński Związek Zawodowy Nauczycieli przeprowadził sondaż w 117 szkołach pięciu prefektur kraju kwitnącej wiśni. Pytania na temat samopoczucia uczniów w szkole zadano samym uczniom i ich nauczycielom. Ponad 60% spośród 10 tysięcy ankietowanych uczniów uważa, że obowiązujące regulaminy szkolne, ściśle regulujące zachowanie się podczas lekcji i przerw, zachęcające do składania donosów na kolegów i niewykluczające kar cielesnych, są zbyt ostre. 30% spośród nich stwierdziło, że z trudem znosi atmosferę, w jakiej odbywa się nauka. Dodajmy na marginesie, że w Japonii nasila się niepokojąco zjawisko samobójstw młodzieży na tle niepowodzeń szkolnych lub w wyniku kryzysów nerwowych związanych z działaniami dyscyplinującymi uczniów. A co na to japońskie belfry? Ano, łatwo się domyśleć: większość ankietowanych uważa, że przepisy szkolne są skutecznym środkiem wychowawczym, przyzwyczajającym dzieci do dyscypliny i porządku. Połowa nauczycieli uważa za konieczne stosowanie kar fizycznych, a 38% traktuje bicie uczniów jako "zło konieczne" zwłaszcza w przepięknych klasach.

W porównaniu z Japończykami - nasi nauczyciele jawia się jako anioły dobroci, demokracji, cierpliwości. Nie chcemy być drugą Japonią! W każdym razie - nie jako uczniowie... (B.P.)

JAK ZA BARSZCZ

Ppd koniec maja zwłata do Polski Stevie Wonder i da koncert na stadionie X-lecia. Nasze umiarkowanie małolaty już się cieszą z łatwo dostępnego, masowej rozrywki, której im tak brakuje. Bilety wstępne od 5 do 8 tysięcy złotych. Ye, ye, ye... (B.P.)



I
 Marksieści wymyślili doktrynę o wzajemnym określaniu się bytu i świadomości, czemu leniniści-stalinieści przyporządkowali teorię "bazy i nadbudowy". Jaka jest baza w socjalizmie realnym - każdy widzi i czuje. Jaka jest nadbudowa - nie można ocenić, bo płynna, impoderabilna, niejasna ideologicznie i poręczona pesonalnie. Niedawno trzeba było w tym celu porokonywać pierwszy obieg z drugim. Teraz wystarczy zajrzeć do jednego z nich, żeby dostać bzik. Do tego dochodzą jeszcze wieści z tzw. szerokiego świata.

II
 W tym do niedawna przy wszystkich możliwych stozach potrasaliśmy długopisami i pyskaliśmy, wydzierając Władzy okrawki władzy i nazywając to "uspokojeniem państwa", a tymczasem nasze kochane za-

Bartosz Pieczyński

Niežnośna lekkość nadbudowy

chodnie demokracje zadzwiają nas czymś odwrotnym. Oto nowokreowany prezydent USA zapowiada zmiany w systemie edukacji młodych Amerykanów: zwiększenie dyscypliny i zaostrzenie wymogów dydaktycznych. Przede wszystkim zaś (i równolegle) zamierza zwalczyć narkomanie wśród uczniów. Jak sobie z tym poradzą nieśczęśliwi banksi - to już kłopot ich gremiów pedagogicznych. Nie doradzamy im niczego, bo sami nie wiemy, co by tu uczynić, żeby maślaki dalej baży się dwój, egzaminów, drżały przed PT Profesorami i Tow. Dyrektorami - i nie miały skłonności do ćpania. Szukając alternatyw - sięgamy do dobrych wzorów demokracji wychowania w Ameryce. Rany boskie! W dodatku Amerykanie nie mają ani Piastka, ani Kotarskiego, a o małe co mieliby ministra obrony przepadającego za dziewuchami i whisky. Oni upadną jeszcze wcześniej niż my, przepowadam im to!

III
 W innym demokratycznym kraju, RFN, wzięto się za wyścigową czystość sportu. Nie wystarczy tam czerwona kartka za kopnięcie przeciwnika na boisku. Smolarek z łódzkiego "Widzewa", grający teraz w "Eintracdie" zapłacił niedawno 1000 marek grzywny, bo nie uszerwał partnera. Za jedno kopnięcie! Z torbami posiadłby nasz rodzinny milicjant, ale on ma na stałe czerwona kartka i to go skutecznie chroni przed nie-demokratycznymi represjami sądowymi. Inny kłopot: jakie i z czego kary miałyby płacić zupak czy tzw. stoczny rocznik za kopnięcie "kota" czyli młodszego rocznika w Ludowym Wojsku Polskim? To nie do wiary, ale przy młodzieżowym podstoliku wysunięto żądanie, żeby żołnierze byli objęci prawami ludzkimi i obywatelskimi. I co? Trzeba będzie płacić kapralom w markach, żeby mieli czym płacić grzywny! Takie są opłakane skutki, jeśli ktoś chce zmieniać nadbudowę, nie licząc się z bazą.

IV
 Zaś przy kilku podstolikach i nadstolikach uznano uroczyście prawo Nadwisłań do pluralizmu. Co to znaczy w praktyce (czego ma być dużo i różnego?) - nie bardzo jeszcze wiadomo. Odnotowujemy jednak pewne symptomy zmian w tej dziedzinie. Na warszawskich ścianach znikają napisy "Solidarność żyje!" i "Zarejestrować NZS!". Pojawily się na to miejsce masowe informacje, że "Pomidor is O.K.". Organa SB podobno gorączkowo poszukują podejrzanego Pomidora. I tak wegetarianie zeszli do podziemia, bo przyroda nie lubi próżni. Zresztą przez cały czas nie jest dobrze z tym pluralizmem, a już zupełnie kiepsko z podmiotowością. Na przykład homoseksualieci nie mieli swojego reprezentanta przy okrągłym stole (choć?...). Zaś wiadomo, że sataniści nie lubią skinów i nikt tego nie podkreśla, gdzie trzeba. W środowisku literackim przez jedni pisarzy zasiedli do pióra, drudzy im robią kota pióra. Nauczyciele pochwalają nienauczycieli, że ci drudzy zatroszczyli się o sprawy oświaty. Sąmy więc taki pluralizm, jaki jest możliwy w Europie Zachodnio-Wschodniej. Tylko jeden Pomidor is O.K.

V
 Wiosna w naszych stronach i ogrodach. Wiosna i pomidor ujawni się na ulicach wesoło (w hotelu "Forum"

toż jest). Zresztą pod tym względem przebudowa (pierestrojka) widoczna jest nie tylko u nas. Korespondenci z ZSRR donoszą, że "hamburgery podbiły Moskwę". Nikt nie donosi, żeby moskwićza podbiły Hamburg. Co prawda Jacek Moskwa podbił TVP w lutym i marcu. Ale jednak np. w Bostonie nie tańczą bostona, w Hawajach nie pija bawarki, Tatarzy brzydzą się jeść tatarów. Jeśli coś się tu trochę zgadza, to tylko to, że Dawid Warszawski podbił ostatecznie Warszawę, czego jednak wciąż nie można powiedzieć o profesorze Amsterdamskim w Amsterdamie.

VI
 Co się zaś tyczy klasycznej teorii bazy i nadbudowy, to wypowiedział się na ten temat (w rozmowie z Ireną Dziedzic) prof. Adam Schaff. Jak przystało na markieiste, zajmował się głównie wieszczaniem. Poturformował on niedzielnych telewizorów, że socjalizm nastąpi nieuchronnie (czyż ich przestraszył) i pragnie się niebawem powszechny dobrobyt (czyż ich rozczarował), wzdychając do spuścizny ideologicznej Róży Luksemburg (czyż ich zdenerwował). Nie skomentujemy wywiadu z uczonym neomarksistą, bo polszczyzna zna tylko wyrazy eleganckie albo nieprzyzwoite. Tertium non datur, a tu potrzebne byłoby tertium.

VII
 Okragły stół długo dywagował na temat polskiej

bazy i nadbudowy. Osiągnął tyle, ile chcieli przewoźnicy Lech i generał Czech. Obaj czuli na plecach gorący oddech Rusa. Co będziemy oglądać w TV, kiedy już nie ma okragłego stołu? Związusca, że zbiegło się to z zakończeniem jego brazylijskiego odpowiednika "W kamiennym kręgu" (Granda pedra)...

VIII
 Bardzo wybitne wartości edukacyjne miał film o amerykańskich Indianach żyjących w rezerwacie. Powiedziano tam, że taki Indianin kupuje w swoich sklepach towary tańsze niż w całych Stanach, kończy szkołę bezpłatnie, po czym może studiować, jeśli jest mądry. Ponadto każdy ma samochód, a niektórzy nawet po kilka. Już miałem zakładać w szkołach koła Towarzystwa Obrony Praw Indian Amerykańskich, ale przyszło mi do głowy coś innego (ach ta przedsiębiorczość): może między Odrą i Bugiem, Tatrami i Bałtykiem założyć rezerwat dla ludności etnicznej zwanej jeszcze Polakami? Wier, że to utopia - wciąż mamy za mało czerwoneskórych.

IX
 Ale dość tych dygresji na temat bazy. Wróćmy więc do nadbudowy. Trochę się boję Redakcji "WG", ale muszę to powiedzieć: możliwe, że jeszcze raz zrobili z nas wała, ale my za to (jak zawsze) zachowaliśmy swoją godność. Niepowodzenie marksizmu w Polsce da się wytłumaczyć tylko jednym: naszą świadomość nie określa naszego bytu ani byt świadomości. Po prostu jedni mają jedno, a inni drugie i to jest właściwy pluralizm socjalistyczny a la Polonaise.

BARTOSZ PIECZYŃSKI

GOŁA PRAWDA

Nasi milusińcy są już w każdym kiosku i w każdym piśmie (ostatnio także w TV i kinie) raczeni niewybredną pornografią. Czasem jednak dodaje się do tego jakaś mini-ideologia. "Kulisy" zamieściły (dla fanów muzyki pop) artykuł pt. "Indywidualistka z rodziny Jacksonów", z towarzyszeniem zdjęcia, gdzie La Toya Jackson (siostra Michela) pokazuje gołą pupę. Polacy też uchodzą za naród indywidualistów, ale w swoich masie będą mogli sobie zafundować takie fotki kiedy już skończy się reformowanie gospodarki socjalistycznej, a jeszcze nie zaczną wychodzenie z kryzysu. (B.P.)

Konin, Lublin i Stalowa Wola
 dziękują p. Jastrzębskiej
 z Chicago za pomoc (1982).



cena 100 zł.